Edmond Hamilton

Polowanie wśród gwiazd

(The Star Hunter)

`

Space Travel, September 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Gniew Króla Oriona płonął w otchłaniach kosmosu.

Jego łowcy śpieszyli z Hiad, z Mintaki, z Saif i z Aldebarana; ponure wojenne statki pędziły na łeb na szyję między gwiazdami w mściwych poszukiwaniach małego, tajemniczego pojazdu, który ośmielił się naruszyć ich domenę.

Zakodowane komunikaty, pełne gniewu i alarmu, mknęły na olbrzymie odległości. A gwiezdne imperia w całej galaktyce nasłuchiwały ich i czujnie obserwowały swe własne granice. Królestwo Kasjopei, zjednoczeni Baronowie Herkulesa, którzy dzierżyli tysiące gwiazd i planet, Królowie Lwa, Hydry i Smoka, wszystkie te państwa i wiele mniejszych, aż po Marchie Dalekiego Kosmosu, wysłały swoje floty aby obserwować sytuację, z zawiścią patrząc na wielkie imperium Oriona, i jeszcze bardziej zawistne wobec równie wielkiego i znacznie starszego Imperium Terrańskiego, na którego statek właśnie polowali oriońscy łowcy.

Uciekający statek był Jednostką Zwiadowczą Klasy Piątej, Marynarki Terrańskiej, malutkim pojazdem w porównaniu z wielkimi krążownikami i ciężkimi okrętami, które go ścigały. Jego artyleria składała się jedynie z działek szybkostrzelnych, niemal pozbawiony był opancerzenia, ale mógł latać z ogromną szybkością. Teraz właśnie leciał bardzo szybko, okruch metalu zmierzający w stronę terrańskiej granicy. Hugh Mason zdawał sobie jednak sprawę, że nie było to wystarczająco szybko.

— Nie mamy najmniejszych szans — powiedział Stack. Stał z Masonem w niewielkiej sterówce, zaraz za plecami pilota. Nieogolony i z przekrwionymi oczyma, nie wyglądał na kapitana statku zwiadowczego. Bardziej przypominał zwykłego włóczęgę.

— Te krążowniki, które za nami lecą, nie dadzą rady nas złapać — stwierdził Mason.

— Nie, one nie — odparł Stack. — Ale co z tymi, które są przed nami? W tej chwili rozciągają się wachlarzem od samego Aldebarana.

Mason nie odezwał się, ale kiedy patrzył na szeroki ekran widokowy w sterówce, usta zacisnęły mu się w cienką linię. Ekran pokazywał tak naprawdę widok ze złożonego skanera, dokonując translacji wychwyconego różnorodnego promieniowania na zwykłe światło.

Z tytanicznej panoramy gwiezdnego blasku i kosmicznego mroku, w oczy bił mu blask milionów gwiazd. Pośród tych szafirowo-błękitnych, diamentowo-białych, przydymiono-pomarańczowych ogni głębokiego kosmosu, jak przyjazna latarnia morska płonął białawo-zielony wspaniały Syriusz, a za nim dalej żółta iskierka Sol, pradawnej stolicy Imperium Terrańskiego. Jednakże znacznie bliżej i niemal na wprost przed nimi, widać było krwawy płomień Aldebarana, którego układ znajdował się w Imperium Orionidów, w pobliżu jego granicy.

Mason często zastanawiał się, jak ten oszołamiający widok oddziaływał na pierwszych ludzi, którzy wyruszyli z Sol aby skolonizować galaktykę,

tysiące lat temu. Ich kruche statki międzygwiezdne kierowały się w ogromne głębiny kosmosu, napędzane ich odwagą i wiarą, ich marzeniem o galaktyce pełnej ludzi, żyjącej w pokoju, pod rządami wspólnych praw. Ale marzenie to załamało się. Jedno centrum rządowe nie było w stanie utrzymać całej galaktyki. Niezależne królestwa zbuntowały się, odrzucając władzę Imperium Terrańskiego, przy tym jednak przyjmując dla swych suwerennych władz, starą terrańską tytulaturę honorową. Najstarsze, największe nadal było Imperium Terrańskie, które ciągle nie miało suwerena, poza wybieralną Radą. Inni byli jednak niemalże tak samo silni, a ich królowie pragnęli jeszcze większej chwały, jak Janissar z Oriona.

Na myśl o tym, palce Masona zacisnęły się mocniej na uchwycie, którego się przytrzymywał. Cedząc między zębami, oznajmił:

— Musimy dowieźć Oliphanta na Terrę, zanim umrze. On jest kluczem do wszystkiego.

Stack wzruszył bezradnie ramionami.

— Aldebaran jest jedną z głównych baz floty Oriona. Będą wiedzieli, że się zbliżamy. Wiązki komunikacyjne są szybsze niż statki.

Mason odparł szorstko:

— Wiem o tym. Na wypadek, gdyby pan o tym zapomniał, zanim przeszedłem do wywiadu, byłem oficerem marynarki.

Stack poczerwieniał na twarzy.

— Bez urazy.

Mason odwrócił się do niego. Miał trzydzieści dwa lata, a czuł się, jakby na jego barkach spoczywało przynajmniej sto dwa, ciemnowłosy mężczyzna ze szczeciną zarostu na twarzy i desperacją w oczach. Powiedział przepraszającym tonem.

— Obaj zaczynamy pękać. Proszę mi wybaczyć mój wybuch. Jeśli zaczniemy jeszcze gryźć się między sobą, to jesteśmy ugotowani. Musimy szybko coś wymyślić.

Stack wskazał gestem na leżącą przed nimi wielką gwiazdę, jak krwawe oko obserwującą ich zbliżanie się.

— Ich krążowniki rozstawią się od wschodu na zachód i od zenitu do nadiru względem Aldebarana. Musimy obejść układ planetarny Aldebarana, ale jeśli prześlizgniemy się daleko wokół detektorów ich krążowników, wpadniemy na statki lecące tu z Alefa i Charmara.

Mason popatrzył na rozgwieżdżony firmament i zauważył:

— Jeśli miniemy Aldebarana, terrańska granica nie będzie już daleko. Ale ma pan rację, nie możemy obejść ich z dala od detektorów ich krążowników.

— A więc, musimy wpaść w ich sieć i próbować się przez nią przebić — stwierdził Stack.

— Zdmuchną nas bez trudu — odparł Mason. Mięśnie wystąpiły mu na szczęce. — Jest tylko jedna dziura. Jedyny sposób na przedarcie się przez nich.

— Nie będzie żadnej dziury — nie zgodził się Stack. — Od układu Aldebarana, we wszystkie strony, sieć będzie tak gęsta, że mysz się nie prześlizgnie…

Nagle jednak, widząc twarz Masona, zamilkł. Po chwili dodał, zmienionym głosem:

— Teraz to widzę. Jedyna dziura. Przez układ planetarny samego Aldebarana.

— O to chodzi — skinął głową Mason.

Stack zmarszczył brwi, a pilot odwrócił się i obrzucił ich szybkim zaskoczonym spojrzeniem. Stack zauważył:

— Wie pan, jakie mamy szanse przy tych szybkościach?

— Wiem, że w innym przypadku nie mamy żadnych szans — odparł Mason. — Proszę ustawić kurs na komputerach. Ja wracam, porozmawiać z Oliphantem.

Wyszedł z ciasnej sterówki i ruszył wąskim korytarzem, biegnącym wzdłuż osi SC-1419. Na statku klasy Jednostki Zwiadowczej, było zaledwie tyle miejsca, aby pomieścić maszyny oraz ośmiu ludzi. Kiedy okręt tak pędził w stronę granicy, wielokrotnie szybciej od światła, cała jego metalowa powłoka, co do ostatniego atomu, zdawała się wibrować pod presją masywnych silników.

Mason przecisnął się koło wielkich zestawów napędu jonowego, pachnących rozgrzanym metalem i wszedł do niewielkiego kącika, gdzie przypięty pasami do koi leżał Oliphant. Siedzący obok niego jeden z członków załogi, młody Finetti uniósł wzrok na Masona.

— Gorzej z nim — powiedział Finetti. — Puls, oddech – wszystko.

— Nie przyszedł do siebie?

— Nawet na chwilę, przez cały czas, odkąd zabraliśmy go na pokład — odparł Finetti. Dodał jeszcze: — Szkoda, że nie możemy zrobić dla niego więcej. Ja nie jestem lekarzem, tylko zwykłym marynarzem z sześciomiesięcznym szkoleniem pierwszej pomocy.

— Doskonale sobie radzisz — zapewnił go Mason.

Nachylił się nad koją.

— Oliphant — powiedział.

Człowiek na koi nie odezwał się. Jego szczupła twarz była szara i nieruchoma, oczy miał zamknięte. Widać było tylko nieznaczny ruch masy bandaży, spowijających jego cały tors.

Był niewielkim człowiekiem. Ale Masonowi wydawał się gigantem. Ponieważ Oliphant, jego przyjaciel i zwierzchnik, dokonał rzeczy, której nie udało się jeszcze nikomu, w całej historii terrańskiego wywiadu. Podążając tropem poszukiwanej tajemnicy, przedostał się na samą tronową planetę Imperium Orionidów, głęboko w Plejadach, i wrócił z niej.

Nie musiał tego robić. Znajdował się dostatecznie wysoko w hierarchii służbowej, aby zlecić to zadanie Masonowi, albo komuś innemu. Ale pokój w galaktyce był bardzo niepewny i tylko siła i presja Imperium Terrańskiego chroniły zawistnych gwiezdnych-władców przed groźbami innych. A kiedy z Oriona dotarły niepokojące pogłoski, Oliphant sam wyruszył aby poznać prawdę.

Pogłoski, plotki, zniekształcone, przemieszczające się przez kosmos okrężnymi drogami. Głosiły one, że Janissar, Król-Władca Oriona, szalał ze szczęścia. Że był już blisko zdobycia jakiejś siły, broni, czegoś co mogłoby zapewnić Orionowi supremację. Gdyby to zdobył, gdyby użył tego do

powiększenia swego imperium, pokój w galaktyce zostałby rozdarty na strzępy. To mogła być tylko pozbawiona podstaw plotka. Oliphant wyruszył, żeby się tego dowiedzieć.

To właśnie SC-1419 zabrał go na martwy, pozbawiony powietrza glob w Plejadach, przekradając się potajemnie przez przestrzeń Oriona. Oliphant odleciał stamtąd swoim niewielkim fliterem, kierując się na tronową planetę króla Oriona. Czekali przez długi czas, aż w końcu fliter powrócił. Ale przyleciał na autopilocie, ze śmiertelnie rannym i nieprzytomnym Oliphantem na pokładzie. Przez cały ten czas agent nie odzyskał przytomności i cokolwiek odkrył, pozostawało zamknięte w jego mózgu.

— Oliphant! — powiedział ponownie Manson, nachylając się do ucha leżącego. — To ja, Mason. Mason.

Woskowa twarz nie poruszyła się. Oliphant znajdował się gdzieś daleko w królestwie snów, gdzie przyjaciele, gwiazdy i imperia nic nie znaczyły.

— Nie wydaje mi się, żeby wytrzymał aż dotrzemy do domu, sir — stwierdził Finetti. I dodał z niepokojem, pytającym tonem: — Jeżeli w ogóle dotrzemy do domu.

Mason powoli się wyprostował.

— Zrób dla niego wszystko, co tylko będziesz mógł. Dotrzemy do domu. My…

Komunikator w ścianie odezwał się głosem Stacka:

— Mason!

Mason pośpiesznie pobiegł do sterówki. Kiedy do niej wchodził, właśnie cichło histeryczne furkotanie komputera.

Stack oznajmił niewzruszenie.

— Ich krążowniki przed nami mają nas w zasięgu radarów. Lecimy teraz prosto na nich.

Mason popatrzył w ekran skanera. Aldebaran był obecnie wielką czerwoną kulą ognia wiszącą pośród gwiazd, nieco na prawo od ich kursu. Mniejsza gwiazda układu, niemal kryła się w jego blasku.

— Aby zmylić ich co do naszych zamiarów nie możemy zboczyć w stronę układu, aż do ostatniej chwili — oznajmił Stack. — To znaczy, dopóki nie zaczną do nas strzelać.

Masson skinął głową.

— To pański statek.

— Naprawdę? — kwaśno zauważył Stack. — Był, dopóki nie dostałem się pod rozkazy wywiadu. Teraz już nie jestem pewien.

Mason nic na to nie odpowiedział. Obserwował ekran i czekał. Z rozgwieżdżonej pustki rozpościerającej się przed nimi, zbliżały się do nich krążowniki Oriona, namierniki ich celowników pracowały przez cały czas, a…

Na lewo od nich wykwitł piękny, czerwono-złoty rozbłysk, zalewając cały wszechświat swoim oślepiającym blaskiem. Chwilę później, kolejny rozbłysk pojawił się z prawej strony, tym razem tak blisko nich, że statkiem zwiadowczym rzuciło, jak fotonem na grzbiecie protuberancji słonecznej. Znajdujące się niesamowicie daleko działa, wystrzeliwały

pociski, które samo-napędzane silnikiem jonowym pędziły w ich stronę z szybkością wiele prędkości światła większą, niż jakikolwiek statek.

Stack polecił pilotowi:

— Wystarczy już. Wzorzec lotu jest ustawiony. Proszę wyłączyć stery i przejść na auto.

Pilot przestawił kilka przełączników i usiadł w fotelu. Ręce zwisały mu bezczynnie, a ramiona lekko drżały.

Statek zwiadowczy ostro skręcił i zanurkował w stronę czerwonego płomienia Aldebarana, jak ćma kuszona do samobójczego lotu przez ogień potężnej gwiazdy.

— Mam tylko nadzieję — stwierdził Stack, — że nikt nie wejdzie nam w drogę.

Po skórze między łopatkami Masona przebiegały mrówki, kiedy patrzył, jak wielka czerwona gwiazda i jej mniejszy towarzysz, skoczyły w ich kierunku. Przy tej szybkości, wkrótce mogli dostrzec kłębowisko plamek jej osiemnastu planet.

Przelot przez układ planetarny, z szybkościami ponadświetlnymi był stanowczo zabroniony przez każdy system prawny w galaktyce. Było to po prostu czyste szaleństwo. Komputer był w stanie uwzględnić pozycję wszystkich planet, księżyców i mniejszych ciał w układzie. Komputer nie był jednak w stanie określić pozycji statków międzyplanetarnych, rojących się między tymi planetami. Podejmowali skalkulowane ryzyko i jeśli uderzą w któryś z nich, nawet się tego nie dowiedzą.

Żaden z pilotów-ludzi nie byłby w stanie wykonać raptownych kompensacji i zmian kursu, pozwalających na ominięcie wszystkich ciał niebieskich krążących w układzie. Autopilot jedynie klikał sobie z zadowoleniem i pędził dalej.

Mason tylko przelotnie pochwycił okiem plamkę światła, która nadleciała z zapierającą dech w piersiach szybkością, rozrosła się jak nadmuchiwany balon, zmieniając się w ogromną, pokrytą lodem planetę, przemknęła koło nich i została z tyłu.

Trzymał się kurczowo uchwytu, kiedy autopilot klikał, a SC-1419 ostro się wychylał. Mknęli z najwyższą szybkością wzdłuż strefy pierścienia asteroidów, który wyglądał jak ogromna rzeka kamieni na niebie, potem znowu skręt i już Aldebaran wraz ze swoim małym towarzyszem świecił im prosto w twarz, większy niż kiedykolwiek przedtem. Obie gwiazdy przesunęły się gwałtownie w lewo, po kolejnej zmianie kursu przez autopilota, zaś obok nich przemknęła wielka szafranowo-czarna planeta.

Stack wydał z siebie odgłos, nie do końca będący śmiechem.

— Założę się, że na tych krążownikach jest teraz cała masa zaskoczonych ludzi. — Po chwili dodał jeszcze: — Do diabła z nimi, ja jestem nie tylko zaskoczony, ale i wystraszony.

Miał powód do tego, pomyślał Mason, ponieważ on również był przerażony do szpiku kości. Mknęli teraz między wewnętrznymi planetami, gdzie ruch transportowy był największy i jeśli uderzą, albo nawet zawadzą jakiś statek, jeśli…

Miał ochotę zamknąć oczy, nie patrzeć na czerwone, pomarańczowe i ciemnobrązowe planety oraz księżyce, śmigające wokół nich. Pomyślał, że

autopilot musiał chyba zwariować, że nigdy im się to nie uda. Nagle ogromny, przytłaczający krąg Aldebarana znalazł się ponownie przed nimi, a SC-1419 pomknął w przerwę między nim, a jego mniejszym towarzyszem.

Śmignęli przejściem między dwoma płonącymi gwiazdami i ruszyli dalej przez orbity kolejnych planet. Mieli za sobą połowę drogi. Mason był mokry od potu, a pilot siedział skulony w swoim fotelu, z zamkniętymi oczyma.

Autopilot musiał chyba naprawdę oszaleć, próbował ich zabić, rzucając ich prosto na wielką pomarańczową planetę, która rosła przed nimi z przerażającą prędkością. Wtedy metalowy umysł kliknął, i statek odchylił się w bok, przechodząc tuż koło najdalszego księżyca, wyglądającego jak miedziana tarcza, ponownie zmienił kurs i pomknął dalej.

Mniej więcej wieczność później, usłyszał głos, który powiedział:

— Przeszliśmy. Na Boga, dokonaliśmy tego!

SC1419 ponownie był już w głębokim kosmosie, pędząc w stronę odległych światełek Syriusza, Sol i terrańskiej granicy, zaś Aldebaran i jego planety zostawały coraz bardziej z tyłu.

Stack, z czerwoną i błyszczącą od potu twarzą, zawołał:

— Zawrócenie i oblot układu planetarnego zajmie ich krążownikom dłuższą chwilę – nigdy nas już nie dogonią!

Mason z oszołomieniem uświadomił sobie, że ktoś ciągnie go za rękaw. Był to Finetti, z twarzą posiwiałą ze strachu i podekscytowania.

— Panie Mason, on odchodzi. Zostały mu już tylko minuty!

Mason nagle spadł ze szczytu nowo powstałej nadziei. Śmiało wdarli się do twierdzy Oriona, umknęli z rąk jego statków międzygwiezdnych, uciekając im, ale to wszystko będzie na nic, jeśli Oliphant umrze.

Rzucił się w stronę rufy korytarzem, mając tuż za sobą Finettiego. Jeden rzut oka na Oliphanta, wystarczył mu w zupełności. Ranny oczy nadal miał zamknięte, a jego twarz była nieruchoma, ale jej kolor stał się trupioblady, a oddech niemal niedostrzegalny. Ewidentnie, umierał.

Mason patrzył na niego. Wiedział co musi zrobić, co sam Oliphant by zrobił, aby ofiara jego życia nie poszła na darmo. Ale potrzebował kilku chwil, zanim zdołał wymówić odpowiednie słowa.

— Proszę dać mu jeden strzał elektrowstrząsu — polecił Finettiemu.

Finetti wpatrywał się w niego, zaskoczony.

— Ale w jego stanie, to go zabije niemal natychmiast.

— Niemal — odparł Mason. — Może będzie w stanie coś powiedzieć. I tak umrze za kilka minut, nic go już nie może uratować. Proszę wykonać!

Jego głos pobudził Finettiego do działania. Marynarz, trzęsącymi się dłońmi umocował elektrody. Pomieszczenie wypełnił jęk urządzenia.

Oliphant wykrzywił się. Jego ciało zadrżało, skręciło się. Nagle oczy mu się otworzyły, patrząc w górę pustym wzrokiem.

Mason pochylił się nad nim.

— John, to ja – Hugh Mason. Czego się dowiedziałeś?

Oliphant wyszeptał z wysiłkiem kilka słów:

— Dokonałem tego. Nie myślałem… postrzelili mnie, kiedy wsiadałem do flitera…

— Czego się do wiedziałeś? Co nowego ma Orion?

Oczy Oliphanta skupiły się na twarzy Masona. Mówił z bólem, niewyraźnie.

— Nie udało mi się dowiedzieć, co to jest dokładnie. To coś, co odkrył Ryll Emrys, jeden z ich największych uczonych. Coś, o sile kosmicznej. Ale Ryll Emrys uciekł z Oriona, zabierając ze sobą swoją tajemnicę…

Mason nachylił się mocniej, ponieważ głos Oliphanta szybko słabł.

— Ryll Emrys uciekł do Marchii Dalekiego Kosmosu. Orion wysłał za nim jednego ze swoich najlepszych agentów, V'ranna. Zaryzykują wszystko, żeby sprowadzić go z powrotem, oni…

Głos nagle urwał i w oczach Oliphanta pojawiło się niedowierzanie.

— Przecież ja umieram, ja…

Potem pojawiło się w nich zrozumienie i wyszeptał:

— Dzięki, Hugh.

Finetti również pochylił się nad rannym i po chwili wyprostował.

— Umarł.

Mason milczał, patrząc na nieruchomą twarz przyjaciela.

— Wykonał swoją robotę. A teraz ktoś inny musi zająć się jeszcze poważniejszym zadaniem. W Marchiach Dalekiego Kosmosu.

II

Dwaj Terranie, wyglądali jak kroczący przez galaktykę olbrzymi. Brodzili przez lśniące konstelacje, wielkie strumienie gwiazd obmywały im piersi, a ich ramiona i głowy górowały ponad milionami malutkich gwiazdek.

To, oczywiście, nie była prawdziwa galaktyka, tylko nieskończenie pomniejszona jej symulacja, planetarium na ogromną skalę, które wypełniało całe czterystustopowe okrągłe pomieszczenie, głęboko pod budynkiem Wywiadu Terrańskiego na Syriuszu Cztery. Zestawy soczewek rzucały dokładne obrazy wszystkich ważniejszych gwiazd w galaktyce. Zostało tu odwzorowane wszystko – gromady gwiezdne, samotne słońca, ciemne zagrożenia, wspaniałe wielkie układy, cały ruch galaktyki.

Jednym z tej dwójki był Hugh Mason, drugim Valdez, Szef Wywiadu Terrańskiego, człowiek głęboko zatroskany. Kiedy szli przez ogromny rój świetlnych plamek, jego szczupła twarz wykrzywiała się w lekkim grymasie niepokoju, a spojrzenie głęboko osadzonych oczu wędrowało z napięciem po galaktyce. Wzrok Valdeza przemierzał delikatne linie zielonego światła, które wskazywały wijące się granice Imperium Terrańskiego, Imperium Oriona i innych kosmicznych królestw.

Valdez zatrzymał się, jego ramię wyciągnęło się jak ręka Boga, wskazująca na malutkie gwiazdki w regionie galaktyki, gdzie nie było zaznaczonych żadnych linii granicznych.

— Marchie Dalekiego Kosmosu – powiedział. — Nie należą do żadnego z królestw. Żaden z gwiezdnych władców nie pozwala rywalom na ich podbicie. A więc, pozostały dżunglą niezależnych planet.

Mason skinął głową, z lekką goryczą.

— A ponieważ królowie Kasjopei, Smoka i Liry, zazdroszczą sobie nawzajem potęgi, Marchie stały się rajem dla każdego wyjętego spod prawa, bandyty, czy ambitnego awanturnika w galaktyce.

Valdez ruszył dalej i stanął ze świecącymi gwiazdami Wielkiej Niedźwiedzicy krążącymi wokół jego piersi, patrząc na ten nienazwany region gwiazd, daleko na Obrzeżu.

— Tak — potwierdził. — Quroon – ta duża zielona gwiazda za Mgławicą Hantle – jest centrum całego życia w Marchiach. Kiedyś pewnie ktoś spróbuje na Quroon ustanowić królestwo.

Mason przyglądał się daleko położonej smudze gwiazd i w jego uszach ponownie zabrzmiały słowa umierającego Oliphanta: „Ryll Emrys uciekł do Marchii Dalekiego Kosmosu. Orion zaryzykuje wszystko, żeby sprowadzić go z powrotem…"

— Ten zbiegły naukowiec jest kluczem do wszystkiego — mówił dalej Valdez. — Czemu on uciekł do Marchii? Co odkrył – jaką siłę, czy broń? Musi to być coś naprawdę wielkiego, skoro jest tak ważny dla Oriona.

— To jakaś wielka rzecz — wymamrotał Mason. — Oliphant mówił, że posłali za nim swojego najlepszego agenta. Jednego ze swoich asów. Nazywa się V'rann.

V'rann. To nazwisko zabrzmiało jak złowieszczy dzwon. Kimkolwiek był ten V'rann, musiał być dobry, skoro wysłano go na taką misję.

— Zgadza się — z napięciem odparł Valdez. — Orion nie może wysłać do Marchii za tym człowiekiem floty, chyba że jako ostateczne rozwiązanie. Gdyby to zrobili, gwiezdni władcy w pobliżu Marchii szaleli by z gniewu. Ale jeśli ich tajny agent zdoła schwytać Rylla Emrysa i sprowadzić go z powrotem…

Mason ponuro skinął głową.

— Dokładnie. A my nie możemy pozwolić, by Orion ponownie położył łapę na tym człowieku i jego tajemnicach, nieważne jak. Musimy wymyślić w jaki sposób pierwsi możemy złapać Rylla Emrysa.

Valdez popatrzył na niego.

— Mason, wiesz że to bardzo ryzykowne zadanie. Czy nadal je chcesz?

Mason odparł stanowczo:

— Oliphant był moim przyjacielem. Mam zamiar dokończyć jego dzieła. Tak, chcę je.

Ruszyli dalej, wychodząc z małej symulacji galaktyki, a następnie przez wielki hall przeszli do biura Valdeza.

— Wiesz pewnie — powiedział Valdez, — że każdy agent wywiadu, czy sługa prawa, który udaje się do Marchii, zazwyczaj ma krótkie życie.

— Wiem — odparł Mason. — Myślałem, żeby polecieć tam jako bezpaństwowiec, przestępca szukający miejsca schronienia.

— To na nic — stwierdził jego szef. — Próbowano tego tricku już wielokrotnie i nigdy się nie udało. Ktoś nowy, kogo oni tam nie znają, jest tak ściśle obserwowany, że nic nie może zdziałać.

Wyciągnął z biurka niewielkie zdjęcie i rzucił je do siedzącego po drugiej stronie Masona.

— Popatrz na tego człowieka.

Mężczyzna na zdjęciu jest w zbliżonym do mnie wieku i podobnego wzrostu, pomyślał Mason. Ale jego krótko obcięte włosy były tak jasne, że aż bezbarwne, prostokątna, potężna twarz mocno zaczerwieniona, a niebieskie oczy spoglądały zimno i zuchwale. To była twarz silnego człowieka, twardego i pewnego siebie.

— Nazywa się Brond Holl — wyjaśnił Valdez. — Był oficerem w służbie jednego z Baronów Herkulesa. Podczas jakiejś kłótni zabił brata Barona i musiał uciekać do Marchii. Był jednym z najtwardszych jej pirackich kapitanów kosmicznych.

— Był…?

Valdez skinął głową.

— Rok temu, Marynarka Wojenna Kasjopei otrzymała doniesienie, że Brond Holl ruszył w rejs, aby splądrować jedną z ich niewielkich nowych kolonii gwiezdnych. Próbowali go schwytać, ale im uciekł. W końcu jednak zmusili go do ucieczki w terrańską przestrzeń kosmiczną, gdzie przyskrzyniły go nasze krążowniki. W tej chwili odsiaduje wyrok w więzieniu na Syriuszu Szesnaście.

W jednej chwili Mason zrozumiał, co jego przełożony ma na myśli. Z najwyższym zainteresowaniem popatrzył ponownie na zdjęcie. Po chwili stwierdził:

— Włosy, kolor oczu, to w dzisiejszych czasach żadne problem. Ale jego twarz jest zupełnie niepodobna do mojej.

Valdez wzruszył ramionami.

— To, co prawda, zajmie parę dni, nawet przy nowoczesnych ultraszybkich metodach medycznych. Ale parę przeszczepów mięśni, plastikowych poduszek wstawionych między tkanki twojej twarzy – i zrobimy z ciebie kopię Bronda Holla.

Mason przyglądał się fotografii ze zmarszczonymi brwiami.

— Abym mógł się dostać do Marchii, jako Brond Holl, prawdziwy Holl będzie musiał „uciec”. Ilu ludzi będzie o tym wiedziało?

— Trzech-czterech – włączając nas — odparł Valdez. — Przy większej grupie, byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Weźmiemy Holla i wsadzimy go potajemnie do nowej, ukrytej celi, a w tym czasie ty ukradniesz szybki fliter i wystartujesz.

— Z całą Marynarką Terrańską na ogonie? — spytał Mason.

Valdez pokręcił przecząco głową.

— Możemy tego uniknąć, dzięki odpowiedniej synchronizacji działań. A jeśli wykonasz „wysoki skok” do Marchii, będziesz bezpieczny.

— To musi być „wysoki skok” — zdecydowanym tonem stwierdził Mason. — Nie mogę ryzykować przebijania się przez te wszystkie królestwa. Mogę wykorzystać ten czas – będę potrzebował mnóstwa taśm, aby studiować zachowanie Bronda Holla i jego nawyki.

Cztery noce później, Mason kulił się w cieniu skał na Syriuszu Szesnaście, spoglądając w dół, na niewielki oficjalny port kosmiczny Więzienia Marynarki. Na niebie wisiał tylko jeden z dwu księżyców, ale był on wystarczająco jasny, aby zalewać ciemną, kamienistą planetę, niesamowitą poświatą.

Za nim wznosiły się potężne kształty samego więzienia, rozjaśnione mnóstwem świateł. W porcie kosmicznym, stały dwa wielkie transportowce dostawcze, kilka fliterów międzyplanetarnych i jeden fliter znacznie większy od niewielkich skoczków-planetarnych.

— Zgram to z wizytą Podinspektora z Sol — powiedział Valdez. — Jego fliterem dalekiego zasięgu, możesz dolecieć dokąd tylko będziesz chciał. To czteroosobowa maszyna, ale na autopilocie dasz radę obsłużyć go samemu.

Mason, obserwując statki i czekając na dogodną chwilę, pomyślał ponuro, że może z tego wyjść niezłe zamieszanie, jeśli jakiś pałętający się strażnik wpadnie tam na niego. Miał na sobie więzienny ubiór. Jego twarz, była twarzą Bronda Holla. Środki chemiczne szybko wybieliły mu włosy i zmieniły kolor oczu z brązowego na niebieski, a super-efektywne procedury chirurgiczne i ultra-szybko leczące metody współczesnej medycyny dały mu replikę twarzy Herkulanina.

Mason zerknął na czasomierz, a potem złapał za uchwyt stojącego obok niego sześciennego, metalowego pudełka. Zaczął się skradać między skałami w dół, w stronę portu kosmicznego.

Pudełko było ciężkie. Okropnie się umęczy, ale musiał zabrać je ze sobą, ponieważ w środku były taśmy, z których miał nauczyć się jak zachowuje się Brond Holl.

Port kosmiczny nie był specjalnie mocno pilnowany. Strażnicy koncentrowali się na samym więzieniu, zgodnie ze starą zasadą: zamknij złodzieja, a nie zamykaj się przed nim. A więzienie na Syriuszu Szesnaście gościło kilku z najbardziej znanych złodziei w całej galaktyce.

— Do diabła! — warknął Mason wściekłym szeptem, kiedy podkradł się bliżej do dużego flitera o zasięgu jonowym.

W pojeździe ktoś był. Właz śluzy powietrznej stał otworem, a ze środka dobiegały jakieś odgłosy.

Pewnie, pomyślał Mason, któryś z członków załogi został, żeby coś sprawdzić. Przeklął sumienność tamtego. To mogło oznaczać opóźnienie, a nawet kilka minut spóźnienia mogłoby mieć fatalne skutki. Wkrótce strażnicy więzienni odkryją, że Brond Holl zniknął ze swojej celi – oczywiście nie wiedząc, że Valdez i jego ludzie potajemnie go zabrali. Wtedy zostanie ogłoszony alarm i będzie musiał działać naprawdę szybko, jeśli miał uciec, podszywając się pod Bronda Holla.

Mason wpadł na pomysł. Nie było czasu na kalkulację ryzyka. Czas działał na jego niekorzyść. Podkradł się w cień flitera i przycupnął koło jego metalowej burty, w pobliżu otwartej śluzy powietrznej. Czekał, a krople potu spływały mu po czole, pomimo chłodu nocy. Blady księżyc spoglądał na niego z góry w zupełnej ciszy.

Jak wybuch bomby, po całym więzieniu rozległo się skrzeczenie alarmów. Mason napiął mięśnie. Usłyszał jak marynarz na pokładzie flitera

biegnie w stronę śluzy. Mężczyzna wyskoczył na zewnątrz, rozglądając się w podnieceniu.

— Co u… — wymruczał pod nosem.

Mason wyłonił się z cienia za marynarzem i uderzył go – nie za mocno, ale całkiem fachowo. Mężczyzna upadł na ziemię, nie wydając żadnego dźwięku.

Szatańskie wycie alarmów trwało nadal, a światła reflektorów zalały cały obszar na zewnątrz więzienia. Mason zdawał sobie sprawę z tego, że gromady strażników poderwały się właśnie na równe nogi.

Poruszając się z szaleńczą prędkością, odciągnął nieprzytomnego marynarza na bezpieczną odległość. Zabrał mu wiszący u pasa pistolet, a następnie pobiegł z powrotem, wrzucił swoje metalowe pudełko do flitera, wskoczył za nim i zamknął właz śluzy powietrznej.

Teraz mógł lekko odetchnąć. Ministos, źródło energii flitera, był uruchomiony; technik, którego ogłuszył, musiał wykonywać jego rutynowe testy. Obrzuciwszy jednym spojrzeniem wskaźniki ministosu, Mason pobiegł do kokpitu, zapiął się w fotelu pilota, a następnie szybko uderzył w przyciski.

Fliter wystartował jak uwolniony dżinn, śmigając w górę w chwili, gdy miały go pochwycić promienie reflektorów. Później, włączając napęd jonowy, wystrzelił z Syriusza Szesnaście z oszałamiającą szybkością.

Zanim Mason zdążył gorączkowo wyciągnąć palce w stronę innych przycisków, w pobliżu pojazdu zaczęły wybuchać pociski.

Uderzył w klawisz oznaczony WORZEC UNIKOWY. Autopilot przejął sterowanie i fliter rozpoczął serię szalonych skrętów, zmieniając co dwie sekundy kierunek w nieprzewidywalny sposób. Jednak pomimo losowych odchyleń, przez cały czas utrzymywał wyznaczony kurs.

Mason zacisnął mocno ręce i czekał.

Na całym niebie widać było rozbłyski, jak błyskawice jakiejś kosmicznej burzy. Fliter, nieustannie wykręcając się i zataczając, przedarł się w wolną przestrzeń gdzie baterie strażnicze nie były w stanie uzyskać na niego czystego namiaru. Wydostał się już z cienia planety, zanurzając się we wszechogarniającym blasku samego Syriusza.

— Teraz! — pomyślał Mason i wyłączył przycisk UNIKOWY.

Fliter ruszył prosto przed siebie, z pełną mocą napędu jonowego, zwiększając stopniowo szybkość do nadświetlnej.

Rozbłyski przez chwilę próbowały za nim nadążyć, ale potem raptownie ustały. Przy tej szybkości był już poza zasięgiem baterii więzienia.

Mason otarł czoło.

— To wszystko było tak realistyczne, że każdego musiało oszukać!

W tej chwili, powinny już rozchodzić się wieści, że Brond Holl zdołał jakoś wydostać się z więzienia, ukradł fliter dalekiego zasięgu inspektora i wyrwał się w głęboki kosmos.

Jak do tej pory, wszystko w porządku. Takie wieści właśnie powinny się rozejść, aby utorować mu drogę do Marchii. Tylko, że wieści mogły odebrać również krążowniki Marynarki Terrańskiej.

Valdez miał zorganizować tę udawaną „ucieczkę” w czasie, gdy w pobliżu Syriusza nie będzie żadnych formacji terrańskich statków wojennych. Inaczej cała ta rzecz byłaby niemożliwa.

— Miejmy tylko nadzieję — powiedział sobie ponuro Mason, — że Wywiad Marynarki nie przeoczył jakiegoś krążownika.

Fliter leciał z coraz większą szybkością, a potężna kula ognia Syriusza pozostała już daleko z tyłu. Ale radary dalekiego zasięgu ciągle musiały przecinać niebo w jego poszukiwaniu.

Razem z Valdezem uważnie to zaplanowali. Skierował fliter w bok, w stronę Ławic Psiej Gwiazdy, wielkiej łachy międzygwiezdnego gruzu, z paroma gwiazdami i niezamieszkałymi planetami w środku.

Kiedy Ławice Psiej Gwiazdy znalazły się między nim a Syriuszem, zyskał osłonę przed radarem i mógł ruszyć we właściwym kierunku. Był to z grubsza kurs zenit – zenit-ku-zachodowi, który miał wyprowadzić go stopniowo z głównego roju galaktyki w górę, w zachodnią stronę.

Po pewnym czasie, Mason przełączył fliter z powrotem na autopilota i poszedł spać. Po kilku takich okresach snu i świadomości, w końcu znalazł się ponad soczewkowatym rojem gwiezdnym galaktyki, mknąc fliterem z pełną szybkością nadświetlną.

To właśnie był ten „wysoki skok” – przechodzący ponad galaktyką, zamiast przez nią. Tu, w górze, znajdowało się tylko parę słabych, rzadko rozrzuconych gwiazd. A prawa i marynarki wojenne gwiezdnych królestw, tutaj nie sięgały.

Mason popatrzył przez ekran skanera w dół, na ogromną, płonącą chmurę, w której każda iskierka była potężną gwiazdą. Fliter poruszający się wiele tysięcy razy szybciej od światła, zdawał się ledwie pełznąć ponad nią.

— A teraz taśmy — powiedział do siebie. — Muszę powołać Bronda Holla do życia, zanim dotrę do Marchii.

Ale Mason zwlekał, odkładając taśmy i maszynę odtwarzającą. Nigdy jeszcze nie wykonywał „wysokiego skoku”. Teraz, pochwycony w macki dziwnej fascynacji, przyglądał się ogromnemu morzu gwiazd, nad którym leciał.

Wszystkie jego nadzieje, plany, misja, los i przyszłość Imperium Terrańskiego, wszystko to skurczyło się w jego umyśle do nieznaczących rozmiarów. Czymże były pragnienia i obawy ludzi, w porównaniu z tytanicznym majestatem tej z wolna wirującej wyspy-wszechświata, poruszającej się przez jeszcze większe głębiny przestworzy, na ścieżce swego kosmicznego przeznaczenia, na zawsze oddzielonej od innych gigantycznych rojów gwiezdnych, których samotne światełka migotały w oddali. Ogrom tego spektaklu był drwiną z małości ludzkości.

A jednak, pomyślał Mason, hardzi synowie Adama, z bezczelną odwagą ignorowali to napomnienie.

Wyrwali się z Ziemi na swych pierwszych statkach międzygwiezdnych, tak dawno że pamięć o tym stała się już tylko legendą, podążając od gwiazdy do gwiazdy, od planety do planety. Te globy, na których istniało życie inteligentne, czy to humanoidalne czy obce, pozostawiali w spokoju, albo lądowali na nich po zawarciu odpowiedniego porozumienia. Podążali

dalej i dalej, aż w końcu rosnąca międzygwiezdna domena rozpadła się pod swym własnym ciężarem na te wszystkie niezależne gwiezdne imperia i królestwa, które wędrowały teraz pod nim do tyłu.

Tam, w dole, rozciągały się gwiazdy Imperium Terrańskiego, ciągle największego ze wszystkich, rozpościerającego się od Arktura, do dalekiego Centaura, którego historycznym centrum było Sol, ale prawdziwą stolicą Syriusz. Na południe i zachód od niego, widać było szaleńczo jasne gwiazdy Imperium Oriona, a za nim odległe królestwo Argo, którego władcy pysznili się wielkim Kanopusem, jako swoją tronową gwiazdą. Na wschód od niego, także w oddali jaśniał oślepiający blask Gromady Herkulesa, tego straszliwego rojowiska gwiazd, utrzymywanego w garści przez sfederowanych Baronów, uważających się za równych każdemu innemu z władców gwiazd.

Wzrok Masona pomknął do przodu, ponad błyszczącymi państwami międzygwiezdnymi, które mijał wykonując swój „wysoki skok". Cefeusz i Kasjopeja, dwa sprzymierzone królestwa północy i mnóstwo mniejszych gwiezdnych królestw, zebranych razem w Ligę Słońc Polarnych. Za nimi zaś królestwo Liry, z którego dzikim niebieskim okiem spoglądała Wega, a jeszcze dalej stanowiące ciągle ziemię niczyją obrzeże gwiazd, Marchie Dalekiego Kosmosu.

W tym momencie Mason wyrwał się ze swych marzeń na jawie. Marchie były jego punktem docelowym i jeżeli nie zagra tam dobrze swej roli, nie przeżyje w nich długo.

Wyciągnął taśmy. Nadszedł czas, by terrański agent Hugh Mason przestał istnieć i stał się Brondem Hollem, przestępcą z Herkulesa.

— Zastanawiam się — pomyślał, korygując ustawienia encefalografu, — czy orioński agent V'rann, użyje tej samej sztuczki? Pewnie tak.

Nie było sensu, by się już teraz tym martwić. Odprężył się, włączył niewielką maszynę i pozwolił by nagrania wypełniły mu umysł.

Na tych taśmach, w postaci nagrań encefalograficznych, które Valdez sporządził przestępcy w więzieniu na Syriuszu, znajdowały się wszystkie wspomnienia Bronda Holla. Całe minione życie tego człowieka, dzień po dniu, przewijało się w głowie leżącego we fliterze Masona.

Mason nie przejmował się zbyt mocno nagraniami wspomnień Holla z wcześniejszego życia. Ale czasy kiedy herkulański przestępca mieszkał na Quroon, naprawdę bardzo go interesowały i przeglądał te taśmy wielokrotnie. Dowiedział się wszystkiego, co ten człowiek pamiętał o Quroon City oraz o pirackich kapitanach z Marchii. Garr Atten, wielki Hydranin, będący nieoficjalnym przywódcą kapitanów; Fayaman ze Smoka, nie będący przyjacielem Bronda Holla; Hoxie, stary Terranin; i inni, tacy jak Shaa z Rigel czy Kikuri z Polaris, będący humanoidami, ale nie ludźmi.

Potem jednak Mason dowiedział się o pewnej niepokojącej rzeczy. W umyśle Bronda Holla królowało gwałtowne przekonanie, że ktoś na Quroon potajemnie przekazał informacje, które doprowadziły do jego schwytania.

— Do diabła! — pomyślał Mason. — Jeśli to prawda, to będę miał na karku oprócz tego agenta z Oriona, również osobistych wrogów samego Bronda Holla. Będę musiał się pilnować, szukając Rylla Emrysa.

Na razie wyrzucił te niepokojące myśli z głowy i zaczął uczyć się odgrywania roli Bronda Holla.

Mason włączył taśmy visi-audio, zrobione przestępcy. Oglądał je wielokrotnie, studiując każdy nawyk, ton głosu i gest Bronda Holla. Ćwiczył zachowanie Herkulanina, chodząc w tą i z powrotem po kabinie flitera, przeklinając jej ciasnotę i mocno się zastanawiając.

Kiedy uznał, że zaabsorbował z zabranych taśm już wszystko co było można, starannie je wszystkie zniszczył.

Fliter mknął coraz dalej. Nawet przy prędkości tysiące razy większej od światła, podróż zdawała się nie mieć końca. W końcu jednak, autopilot zmienił kurs pojazdu. Fliter zaczął obniżać lot, schodząc stopniowo ze swego „wysokiego skoku", przelatując ponad granicą Królestwa Liry i Marchii Dalekiego Kosmosu.

Mason nadal pozostawał mocno skoncentrowany, nawet po pokonaniu granicy. Krążowniki Liry czasami zapuszczały się na terytorium Marchii, a mogły do nich dotrzeć wieści o ucieczce Bronda Holla terrańskim fliterem.

Nieco odetchnął dopiero, kiedy zobaczył rozrastającą się przed nim gigantyczną, jaśniejącą chmurę. To była Mgławica Hantle – ogromna chmura kosmicznego pyłu, rozświetlona blaskiem znajdujących się w jej głębinach gwiazd. Pył powodował niewiarygodność wskazań radaru i bezpieczniej dla niego będzie przebić się przez mgławicę. Skierował więc fliter prosto w chmurę.

Ekran radarowy jego statku natychmiast zaszedł mgiełką i zaciemnił się, jednak spoglądał na niego nieustannie. Znajdujące się tutaj zamglone gwiazdy, świecące jak niesamowite ognie czarownic, były łatwe do wykrycia, ale mógł napotkać także ciemne ciała i musiał zachować maksimum uwagi, aby ich uniknąć.

Fliter pokonał już dwie trzecie drogi przez mgławicę, gdy Masonowi wyrwał się nagły okrzyk.

Ekran radaru przetarł się na sekundę, pokazując symetryczną formację kilkudziesięciu rozbłysków, nieruchomych, spoczywających w niezbyt dużej odległości od niego.

— Statki… krążowniki… cała eskadra! — wymamrotał pod nosem Mason. — Kryją się tutaj, w mgławicy…

Ekran radarowy ponownie ściemniał i zaciągnął się mgiełką. Kryjące się tu statki, mogły go nie dojrzeć na swych radarach w czasie tej krótkiej chwili poprawy warunków, ale jeśli go zauważyli…

Ruszył fliterem naprzód z najwyższą szybkością, spodziewając się w każdej chwili eksplozji pocisków. Nic się nie działo. Czyżby go nie dostrzegli?

— Ale do kogo mogą należeć te statki? Krążowniki lirańskie, wypatrujące statków pirackich? Nie, miałyby za słabe warunki obserwacyjne przy tych zamglonych radarach…

Przeszyła go niepokojąca możliwość.

— Na Boga, to nie może być prawda!

Fliter wyskoczył z mgławicy, znajdując się z powrotem w otwartym kosmosie. Przed nim rozciągał się olbrzymi region pojedynczych porozrzucanych gwiazd i gęstszych skupisk gwiezdnych, rzednący w miarę

zbliżania się do obrzeży galaktyki. To był bezpański obszar galaktyki, Marchie Dalekiego Kosmosu.

Gdzieś w tym bezimiennym nadgranicznym regionie znajdował się Ryll Emrys, zbiegły naukowiec, którego Orion tak bardzo pragnął odzyskać.

— A w dodatku osobiści wrogowie Bronda Holla — ponuro pomyślał Mason. — No dobrze. Sam się o to prosiłem.

Ustawił fliter na bezpośredni kurs na Quroon.

III

Głęboko we wnętrzu gęstego skupiska gwiazd, płonęła jasna, szmaragdowa gwiazda, z jedyną planetą. To duże zielone słońce i jego planeta, otoczone było ze wszystkich stron przez gęste roje gwiazd, których nakładające się na siebie pola grawitacyjne tworzyły poważne zagrożenie w nawigacji, powiększane jeszcze przez obecność wielkich strumieni dryfującego pyłu.

Kiedy przybyli tu pierwsi odkrywcy, którzy dotarli na te odległe obrzeża galaktyki, bujna, ciepła planeta zielonego słońca, zamieszkała była tylko przez niewielką liczbę prymitywnych humanoidów. Było to dawno, dawno temu, w czasach, gdy rasa ludzka rozprzestrzeniała się z Sol w wybuchowy sposób. Ale w tych wielkich dniach, formowania się gwiezdnych królestw i przejmowania przez nie planet w międzygwiezdnej dziczy, ta gromada gwiazd była zbyt niebezpieczna, aby mogła kogokolwiek skusić. Kolonizatorzy, twórcy królestw, zignorowali region obrzeża i udali się w stronę bogatszych części galaktyki.

W późniejszych czasach, na planetę tej wielkiej zielonej gwiazdy Quroon, przybyli zbiegowie, uciekający przed ręką sprawiedliwości przybysze z gwiezdnych królestw. Pojawiało się ich coraz więcej, ludzi i humanoidów, Terran, Orionidów i Kasjopejan, aż wyrosła tam dziwna cywilizacja przestępców, rządzona przez kapitanów, których uzbrojone krążowniki międzygwiezdne były jedynym prawem na Obrzeżach. Często królowie Kasjopei, Liry i Smoka mówili o zjednoczeniu się, w celu rozbicia przestępców z Marchii, ale zawsze roszczenia rywalizujących władców do tego terytorium, zapobiegały tego rodzaju akcjom.

Mason, nawigując fliterem przy zmniejszonej prędkości, między oszałamiającymi płomieniami gwiazd skupiska, pomyślał sobie, że w końcu któryś z gwiezdnych władców zechce zająć Marchie.

— Niezła robota go czeka, jeśli tego spróbuje — stwierdził.

Potężne pola magnetyczne i grawitacyjne gęsto stłoczonych gwiazd, zakłócały pracę jego przyrządów. Niejednokrotnie niemal wybrał drogę między układami gwiezdnymi, która prowadziłaby go w ślepą uliczkę w strumieniach dryfującego pyłu.

Pozwolił jednak, aby kierowały nim wspomnienia Bronda Holla i lawirował przez skupisko, korzystając ze znanych tamtemu gwiazdznaczników, nieustannie zbliżając się do szmaragdowej gwiazdy.

Wiedział, że na mijanych przez niego planetach i martwych gwiazdach, zlokalizowane były automatyczne ostrzegawcze stacje radarowe, przesyłające wiadomości o zbliżaniu się jego małego stateczku do Quroon. Gdyby nadlatywał więcej niż jeden statek, kapitanowie Marchii byliby już w drodze, aby wyjść mu na spotkanie, ale nie napotkał nikogo dopóki nie przedostał się ostatnie przejście między gwiazdami i nie ruszył w stronę zielonego słońca.

Z komunikatora przemówił nagle piskliwy, nosowy głos:

— Zmniejsz szybkość — oznajmił. — Mów kim jesteś, i to szybko. Jesteś w zasięgu naszych rakiet.

Mason dobrze znał ten głos. Czy też raczej, to Brond Holl dobrze go znał. Odpowiedział pewnie do komunikatora:

— Tu terrański fliter. I do diabła z taką strażą, jeśli dopuściłeś mnie tak blisko, Hoxie.

Z komunikatora dobiegło pełne zaskoczenia i radości pianie.

— Brond Holl, niech mnie diabli! Mieliśmy wieści, że wyrwałeś się z więzienia na Syriuszu, ale nie spodziewaliśmy się, że uda ci się tu dotrzeć.

— Z pewnością złamie to wiele serc — kwaśno odparł Mason.

Mów jak Brond Holl, myśl jak on, bądź nim – albo nie przetrwasz na Quroon, nawet godziny!

Zmierzał w stronę jedynej planety zielonej gwiazdy, stopniowo zmniejszając prędkość, dopóki nie przemknął koło jej dwóch zielonkawych księżyców. Dalej poleciał ku nocnej stronie planety.

Na ciemnej powierzchni planety pojawił się niewielki, nieforemny rój świateł Quroon City. Mason skierował się w dół, przed nimi, zmierzając w stronę namierników portu kosmicznego.

W porcie kosmicznym, około dwudziestu statków międzygwiezdnych, świeciło odbitym zielonym światłem dwóch przemykających w górze księżyców. Mason zacisnął usta. Wyglądało, jakby byli tu wszyscy kapitanowie, co czyniło sprawy bardzo interesującymi.

Fliter wylądował niedaleko wież radarów i dział rakietowych. Mason popatrzył na pistolet, który zabrał marynarzowi na Syriuszu Szesnaście, a potem zatrzasnął właz śluzy powietrznej i zszedł na ziemię.

Był przyzwyczajony do obcych planet, a w każdym razie opalizujący blask dwu księżyców i ciężki, słodko-zgniły zapach dolatujący z otaczającej port kosmiczny dżungli, nie były dla niego czymś nowym. Znał te wrażenia ze wspomnień Bronda Holla i bardzo dobrze pamiętał dziwne, polipowe dżungle Quroon, porośnięte ogromnymi na wpół roślinnymi, na wpół zwierzęcymi organizmami, podobnymi do morskich anemonów z dawnej Ziemi.

Pamiętał także człowieka, który szedł w jego kierunku w ciemnościach nocy, od strony wieży radarowej. Stary Terranin, którego białe włosy i twarz wydawały się niesamowicie i niewiarygodnie wiekowe, a wodniste oczy jaśniały w tej chwili radością powitania.

— A więc, mimo wszystko ci się udało — zapiał z zachwytem. — No, no, po powrocie Bronda Holla, sprawy na Quroon zaraz pójdą nieco żwawiej.

Mason posłał mu zachmurzone spojrzenie, ponieważ wiedział z pewnością, że tak zachowałby się prawdziwy Brond Holl. Powiedział:

— O co ci chodzi, Hoxie? Czyżby ostatnio za mało było strzelaniny, żebyś mógł się zabawić?

— Hej, jesteś rzadkim przypadkiem młodego, niesfornego łobuziaka, Brond — odparł stary Hoxie, w ogóle się nie obrażając. — Wiele lat temu byłem dokładnie taki jak ty… nie chciałem nic od nikogo. W tych czasach Quroon było naprawdę fajnym miejscem.

— Posłuchaj — warknął Mason. — Nie próbuj tylko zaaranżować dla mnie jakiejś walki, tak byś mógł się zabawić, oglądając ją.

— Źle mnie zrozumiałeś, Brond — powiedział Hoxie, urażonym tonem. Chwycił Masona za ramię i ruszył z powrotem w stronę wieży, mówiąc: — Po prostu cieszę się, widząc cię tutaj z powrotem, to wszystko. Wszyscy chłopcy będą zadowoleni, że wróciłeś. Może za wyjątkiem Fayamana.

Wymawiając to nazwisko, rzucił szybkie spojrzenie w bok, na Masona. Chytre, błyskawiczne spojrzenie.

Pod wieżą radarową stał naziemny samochód i Hoxie poprowadził Masona prosto do niego.

— Zabiorę cię do miasta, Brond. Wachtę radarową będzie trzymał mój zastępca. Muszę zobaczyć ich twarze, kiedy się pojawisz.

— A więc nie rozmawiałeś z Garrem? — spytał Mason.

Hoxie wydał z siebie nosowy śmiech.

— Nie, panie kapitanie. Nie rozmawiałem. Chciałem, żeby to była dla nich prawdziwa niespodzianka.

Kiedy samochód ruszył, Mason pośpiesznie przeglądał wiedzę, którą pozyskał z taśm ze wspomnieniami Bronda Holla.

Stary Hoxie zawsze raczej podziwiał twardego i zuchwałego Bronda Holla.

Fayaman, Drakonida, który wiele lat temu został wydalony z armii Smoka, był wrogiem Holla do szpiku kości. Kiedyś pokłócili się o zdobycz, a Fayaman nie był typem człowieka skłonnego do wybaczania.

Garr Atten, to znacznie poważniejsza sprawa. Garr, za milczącą zgodą wszystkich, był od lat przywódcą kapitanów z Marchii. On również specjalnie nie kochał Bronda Holla.

Mason skierował swą uwagę z powrotem na Hoxie. Stary Terranin, jadąc samochodem drogą przez dżunglę, bez przerwy gadał. Po obu stronach pojazdu górowały nad nimi dziwne, polipowate drzewa, pokryte zwiniętymi w lejki liśćmi i kwiatami, kołyszące się i wijące powoli, w świetle księżyca. Z ich cienia dobiegały odgłosy rozmaitych małych żywych stworzeń, które jak wiedział, były równie niesamowite jak polipowate rośliny.

— Garr teraz polubił handel, a nawet pracę — skarżył się stary Hoxie. — Na Quroon wydarzyło się sporo nowego. Kiedyś było tu mnóstwo zabawy i rabunku, ale teraz Garr robi piekło, kiedy ktoś wypuszcza się na rajd – jak wkrótce pewnie sam się zorientujesz.

I znowu obrzucił Masona chytrym, ukradkowym spojrzeniem. Ale Mason nie dał się podpuścić. Myśli miał za bardzo zajęte własnymi problemami. Musiał się jakoś dowiedzieć, czy Ryll Emrys jest tutaj, ale nie mógł spytać wprost.

— Jak wam szło od mojego odlotu? — zapytał Hoxiego.

— Sami byśmy chcieli to wiedzieć, Brond — odparł stary Terranin.

— Co przez to rozumiesz?

Hoxie popatrzył na niego bystro.

— Garr coś zamyśla, ale nie chce powiedzieć, co. Mocno się ekscytuje i dużo gada o przekształceniu Marchii w prawdziwe niezależne królestwo. Opowiada, że powinniśmy zrezygnować z pirackich rajdów i zaczekać.

Niewiele to mówiło Masonowi i nie dawało żadnych informacji na temat spraw, które go najbardziej interesowały. Spróbował od innej strony.

— A czy po moim wylocie pojawił się ktoś nowy?

Hoxie wzruszył ramionami.

— Zwykli ludzie, którzy wpadli u siebie w kłopoty i musieli uciekać do Marchii – ale nie ma nikogo specjalnego. Może poza jednym gościem, który musiał za coś uciekać z Liry. Nazywa się Chan Fairlie. Ściągnął ze sobą kobietę – jest na co popatrzeć. Wszyscy chłopcy wodzą za nią oczyma, a już specjalnie Fayaman.

Masonowi nie wydawało się, żeby mógł to być zbiegły naukowiec z Oriona.

— Od jak dawna jest tu ten Fairlie? — spytał.

— Zaledwie od kilku tygodni — wymamrotał Hoxie.

Zupełnie nie pasuje, pomyślał Mason, a więc nie może to być Ryll Emrys. Ale mógłby to być tajny agent z Oriona, ten ich as, V'rann, którego posłali za Emrysem. Tylko, czy taki agent obciążałby się kobietą? Mimo wszystko, jednak lepiej dobrze się przyjrzeć temu Fairliemu.

Przed nimi wyłoniły się światła Quroon City i samochód wjechał na nieutwardzone ulice miasteczka.

Mason odwiedził w swym życiu wiele dziwnych miast na planetach odległych gwiazd, ale nigdy jeszcze nie był w takim jak to. Fizycznie, nie robiło specjalnego wrażenia – skupisko podobnych do siebie budynków z czarnego kamienia, zbudowanych każdy sobie, wzdłuż przypadkowo poprowadzonych ulic, z mniejszymi domkami rozciągającymi się pośród wysokich polipowych drzew, od jasno oświetlonej ulicy, stanowiącej główną oś. Było tutaj sporo knajp, sklepów, podejrzanych spelunek, służących najbardziej różnobarwnej populacji, jaką Mason kiedykolwiek widział.

Ludzie i humanoidzi, mężczyźni i niemal-mężczyźni z setek planet różnych gwiazd, z całej galaktyki, a także kobiety i niemal-kobiety. Włosy, łuski i pióra, twarze zakończone dziobem, pozbawione nosa i straszne ale całkiem podobne do ludzkich. Prymitywni, mali humanoidzi – aborygeni z samego Quroon, wielcy i futrzaści biali humanoidzi z zimnych planet, którzy ciężko sapali w cieple parnej nocy, ludzie z dumnie postawionymi grzebieniami ze starych ras Rigela, kroczący sprężyście jak tygrysy, giętcy i wężokształtni ludzie spoza Słońc Polarnych. Istoty nigdy nie będące synami Adama, a wszyscy oni mieli wspólne tylko dwie rzeczy – chodzili

wyprostowani na dwóch nogach i w innych częściach galaktyki mieli poważne kłopoty.

W Masona i Hoxie wysiadających z samochodu, wpatrywały się badawcze oczy ludzkich kobiet, oczy kocie, oczy okrągłe, czarne, pozbawione widocznych źrenic, oczy blade, zdające się nic nie widzieć. Rozpoznano go, słyszał przechodzące w tłumie w tą i z powrotem swoje imię i nazwisko „Brond Holl”.

— Chodź — ponaglił go Hoxie, ciesząc się chwilą. — Przyleciałeś dokładnie we właściwym momencie. Dziś wieczorem jest spotkanie kapitanów.

— Dlaczego? — ostro dopytywał się Mason.

— Mówiłem ci, że mają już dość czekania aż Garr wyjaśni swoje plany, co? Właśnie dlatego.

Przepchnęli się przez barwny tłum i Mason pozwolił Hoxiemu poprowadzić się do miejsca, będącego największą knajpą na Quroon. Dzisiaj jednak ze środka nie było słychać muzyki, czy śmiechów – tylko gwar gniewnych, rozkrzyczanych głosów. Wszedł na salę, za Hoxie.

Sala była duża, z kamienną podłogą i ścianami, czarna sala, w której nawet mnóstwo wiszących kryptonowych lamp nie było w stanie rozpędzić cieni. Stoły zostały ustawione nierównym kręgiem, siedzieli przy nich ludzie i nie-ludzie, zaś koło ścian tłoczyło się wielu innych. Wszyscy słuchali człowieka, który przemawiał do nich gniewnie.

Mówcą był Garr Atten. Masonowi poczuł lekką irytację, że Atten próbuje założyć gwiezdne królestwo, podczas gdy jego salą tronową jest zwykła tawerna na pirackiej planecie.

— Niech mnie piorun strzeli, jeśli nie zrezygnuję i wszyscy będziecie mogli sobie iść do diabła na własny sposób, jeśli tego właśnie pragniecie! — grzmiał Garr Atten.

Był ogromnym Hydraninem, solidnie posuniętym w latach, rudowłosym, o poznaczonej życiem, opalonej twarzy i śniadych oczach płonących lwią wściekłością. Stał z zaciśniętymi wielkimi pięściami, spoglądając gniewnie po otaczającym go tłumie.

— Mówię wam, że mam dobry plan. I możecie mi zaufać lub nie, jak chcecie! — zahuczał na całe gardło.

W imieniu ponuro spoglądającego tłumu wystąpił przystojny człowiek, o bladej twarzy i sennie wyglądających czarnych oczach.

— Ależ ufamy ci, Garr. Ale chcielibyśmy czegoś się dowiedzieć o twoim planie.

Wzrok Masona przeskoczył na nowego mówcę. Znał go bardzo dobrze, oczywiście ze wspomnień Bronda Holla. Był to Fayaman ze Smoka i warto było na niego popatrzeć.

— Tak, to twój stary przyjaciel — potwierdził Hoxie chichoczącym szeptem. Dodał jeszcze: — Ten koło niego, to właśnie nowy, Chan Farlie. Czyż ta jego kobieta, nie ma w sobie czegoś? Nazywa się Lua.

Mason zobaczył człowieka o lekko niebieskawej skórze i niebiesko-czarnych włosach charakterystycznych dla Liran. Był to wyglądający na twardego mężczyzna, o kwadratowej twarzy. Obok niego stała lirańska dziewczyna, piękna jak mogą być tylko niebieskoskóre kobiety z Liry. Jej

delikatna twarz pełna była niepokoju i gdy tak słuchała narastającego gwaru głosów, pojawił się na niej wyraz na wpół przestrachu.

Jako następny odezwał się wielki humanoid z Betelgeusy, uderzająca postać o ciele pokrytym jasnożółtym futrem. Ogromne oczy utkwione były nieustępliwie w Garra Attena, lecz przemówił łagodnie:

— A teraz, Garr, jeśli powiesz nam, że potrafisz przekształcić Marchie w niezależne królestwo, wszyscy powiemy, że jesteśmy z tobą. I tak będzie.

Wysoki, humanoidalny kapitan z Rigela, ze stojącym pierzastym grzebieniem na głowie dodał:

— Po prostu, jesteśmy trochę już zmęczeni nierobieniem niczego.

Garr Atten nie dał się ułagodzić.

— A co wy byście chcieli zrobić – znowu ruszyć na rajdy przeciwko Lirze i Kasjopei? — zagrzmiał. — Sprowadzić tu pół tuzina gwiezdnych władców, ze wszystkimi siłami, żeby nas zmiażdżyli? Mówię wam, czasy się zmieniły. Jeśli spróbujecie swoich sztuczek, skończycie jak…

W rym momencie Mason wyszedł spoza stojących przed nim ludzi. Poruszenie przyciągnęło wzrok Garra. Wielki Hydranin gapił się na niego, z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami.

— Jak Brond Holl? — uprzejmie podpowiedział Mason. — Czy to właśnie miałeś zamiar powiedzieć? Niestety, twój umoralniający przykład spalił na panewce, Garr. Złe ziółko pojawiło się z powrotem.

Usłyszał szum głosów, okrzyki zaskoczenia, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Musiał grać Bronda Holla do końca, tak by nie zrodziły się podejrzenia co do jego prawdziwej tożsamości, a przed tymi kapitanami statków międzygwiezdnych Marchii był tylko jeden sposób, aby to zrobić.

Fayaman, którego blada twarz nagle pobladła jeszcze o jeden odcień, wpatrywał się w Masona płonącym wzrokiem. Ze zduszonym przekleństwem poderwał się na nogi. Jego ręka skradała się ku kolbie pistoletu rakietowego, ukrytego pod koszulą.

Masson spodziewał się czegoś takiego i już wcześniej położył dłoń na rękojeści swego własnego pistoletu.

Oznajmił spokojnym głosem.

— Spróbuj tylko, Fayaman. Niczego bardziej nie pragnę. Jestem niemal pewien, że to ty doniosłeś Kasjopejanom, żeby mnie złapali. Daj mi tylko wymówkę, której potrzebuję.

Zaległa paraliżująca cisza. Po chwili jednak Garr Atten ruszył ze wściekłością, trzymając w ręku własną broń.

— Jeśli jeden z was rozpocznie walkę, zabiję tego, który przeżyje! — zagrzmiał. Spojrzał ponuro na Masona i spytał: — Czy masz jakieś dowody, że to Fayaman?

— Tylko on nienawidzi mnie tak bardzo, żeby to zrobić — ostro rzucił Mason.

— To żaden dowód — odparł ogromny Hydranin. — A więc wróciłeś, Brond. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to cieszyło, zawsze byłeś mąciwodą. Ale Marchie są wolne dla wszystkich zbiegów, tak jak zawsze to było. Spróbuj jednak tylko sprowadzić tu jakieś kłopoty, teraz kiedy

staram się przeprowadzić największą rzecz w galaktyce, a będzie to twój koniec!

IV

Mason stał z ponurą miną, jak gdyby rozważając w myślach czy wyzwać Garra Attena czy nie. W rzeczywistości poczuł ulgę, gdy hydrański kapitan zapobiegł walce. Ostatnią rzeczą jakiej chciał, było zepchnięcie go z głównego kierunku działań i wpakowanie w ślepą uliczkę starcia z osobistymi wrogami Bronda Holla. Musiał jednak zachowywać się tak, jak zrobiłby to prawdziwy Holl.

Zdjął rękę z pistoletu i powiedział nadąsanym tonem:

— Nie chcę żadnych kłopotów, ale nadal wiem swoje, kto kazał mi gnić przez rok w więzieniu na Syriuszu.

Garr Atten rzucił mu niego z twardym naciskiem.

— Bron wbij sobie do głowy, że sytuacja się zmieniła. Jeśli spróbujesz wyrwać się na kolejną łupieżczą wyprawę, ja sam osobiście wyślę ostrzeżenie do wszystkich gwiezdnych królestw.

— Co więc mamy robić – zająć się farmerką? — warknął Mason.

— Tu, w Marchiach, jest całe mnóstwo możliwości handlu z humanoidami. Wykorzystajcie swoje statki do tego, a nie do rabunku — odparł Garr.

Stary Hoxie uniósł swój nosowy głos.

— Zdaje się, że tak właśnie żyję ostatnio, odkąd kapitanom Marchii nie pozwala się na zdobycie nawet najmniejszych łupów.

W wielu częściach pomieszczenia podniósł się szmer aprobaty. A w śniadych oczach Garra Attena zapłonął ogień.

— Wy, głupcy! Mamy szansę stać się prawdziwym gwiezdnym królestwem, a nie kryjówką zbiegów! Największą szansę, jaką kiedykolwiek mieliśmy! A wy chcecie ją odrzucić, dla jakichś tam marnych łupów! Ja wam mówię, nie!

— Nadal nam nie powiedziałeś, jak masz zamiar to wszystko osiągnąć — zaczął utyskiwać jeden z ludzi.

— Dowiecie się, kiedy nie będzie niebezpieczeństwa przecieku — szorstko odparł Garr. — Do tego czasu musicie zaczekać.

Jak Mason widział, ci twardzi, piraccy kapitanowie, nie byli zadowoleni. Ale także żaden z nich nie wyglądał, jakby chciał od razu rzucić wyzwanie ich niewątpliwemu hydrańskiemu przywódcy. Atten zmusił ich do przyjęcia swoich planów na wiarę.

Co planował Garr Atten? Jak mógł myśleć, że uda mu się ustanowić królestwo, które zostanie uznane przez inne galaktyczne rządy? Mózg Masona zaczął pracować na najwyższych obrotach. Być może – tylko być

może – że w tym tkwi właśnie jakaś wskazówka, prowadząca do celu jego misji.

Kapitanowie zaczęli wychodzić, spotkanie się zakończyło. Mason przeszedł przez salę, ignorując wrogie spojrzenia Fayamana, i podszedł do Garra Attena.

— Mam pewne wiadomości, które, jak sądzę, będziesz chciał usłyszeć — oznajmił.

Hydranin spojrzał na niego z niechęcią.

— Jakie?

— Mogę paplać o nich przy całym Quroon, jeśli tego chcesz — odparł Mason. — Więc jak?

Twarz Attena Garra zaszła ciemną czerwienią.

— Brond, prosisz się o skręcenie karku, od chwili kiedy się tu pojawiłeś. Tylko tak dalej, a ja z chęcią zrobię ci tę przyjemność. No dobrze, chodźmy, przekażesz mi swoje cenne nowiny na osobności.

Skierował się do drzwi. Mason poszedł za nim, zauważając, że Fayaman ciągle go obserwuje, z wyrazem twarzy, który wydawał się Masonowi dziwnie znajomy. Próbował sobie przypomnieć, gdzie już widział podobny, i z jego osobistych wspomnień wyłonił się obraz wielkiego szarego kota, wpatrującego się dokładnie takim samym głodnym i intensywnym spojrzeniem w siedzącego w trawie małego króliczka. Przeszyła go gorąca irytacja. Wcześniej czy później, ten kot skoczy, i będzie musiał coś z tym zrobić, nieważne że ma na głowie dalece ważniejsze sprawy. Życzył Fayamanowi, aby znalazł się na przysłowiowym dnie Worka Węgla.

Nie widział nigdzie Fairliego i jego dziewczyny. Dopiero kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczył ich idących koło siebie ulicą. Dziewczyna spoglądała na Fairliego, jakby chłonęła każde jego słowo, jej biodra kołysały się prowokacyjnie pod jasnym jedwabiem, a długie włosy kołysały się na plecach. Mason poczuł krótkie ukłucie zazdrości, ale w następnej chwili już zapomniał o nich obojgu.

Garr Alten poprowadził ich zatłoczoną ulicą. Była to droga, którą Brond Holl dobrze pamiętał, pośród płonących latarni, w strumieniu ludzkich, nieludzkich i prawie-ludzkich twarzy, przesuwających się koło nich jak wielokolorowe maski dziwnego chóru w antycznej sztuce. Szli koło ciemniejszych miejsc, gdzie okna domów były zasłonięte, a latarnie dyskretnie przyciemnione. Przez pas wysokich i groteskowych, polipowych drzew, wykręcających się od każdego przechodnia, na swój dziwny na wpół zwierzęcy sposób, kiwając i potrząsając wielkimi słodko-cuchnącymi kiściami kwiatów.

*****

Miejscem do którego zmierzali był rozłożysty budynek z czarnego kamienia, znajdujący się na obrzeżach miasta, w zagajniku polipów. Dżungla wydawała się wyciągać w jego stronę swe grube pazury. Miliony cichych głosów nocnych niewielkich stworzeń, dobiegały spoza każdego pnącza i źdźbła trawy. Od ziemi zaczęła unosić się mgła, jakby próbując

skryć całe to miejsce za srebrną zasłoną. Ono jednak trwało tam, równie uparte i niewzruszone, jak człowiek, który je zbudował.

Służący, którzy wpuścili ich do środka również byli znajomi Brondowi Hollowi, ale Mason nie był w stanie powstrzymać osobistego dreszczu obrzydzenia. Ci miejscowi humanoidzi z Quroon byli bardziej –idami, niż ludźmi. Małe, szybko poruszające się stworzenia, o pokaźnych zębach i nieprzyjemnie gołej skórze. Garr Atten odesłał ich i zaprowadził Masona do dużego, niemal pustego pomieszczenia, surowo umeblowanego w porównaniu z luksusem, jakim cieszyli się inni kapitanowie.

— No dobrze, Brond — powiedział. — Jesteśmy tu sami. O co chodzi.

Z ciemności nocy na zewnątrz dolatywało granie i piski owadów, niesione przez okna prądami ciepłego powietrza. Mason pocił się mocno. Otarł czoło rękawem i powiedział:

— Wydawało mi się, że możesz być zainteresowany faktem, że w Mgławicy Hantle kryje się cała eskadra jakichś krążowników. Niemal na nie wpadłem w tym pyle, kiedy przez nią przelatywałem.

Zaskoczył Gorra Attena i zanim mężczyzna odzyskał swą zwykłą ścisłą kontrolę nad sobą, wyrwały mu się gwałtowne słowa:

— Na Boga, jeśli Orion…

W tym miejscu nagle przerwał.

— Dlaczego — spytał niewinnym tonem Mason — krążowniki Orionidów miałyby siedzieć w mgławicy, z oczyma pełnymi pyłu? Na co czekają – na sygnał do ataku?

— Być może — krótko odparł Garr Atten, z olbrzymią szybkością przerzucając myśli i chodząc w tą i z powrotem po pokoju. — Być może.

Gorące, wilgotne powietrze zaległo ciężarem w płucach Masona. Nerwy kłuły go milionem ostrych igiełek. Monotonne odgłosy owadów, nocnych-grajków, huczały mu w uszach. Za dużo, za mało – wystarczy jedno słowo, niewłaściwy wygląd, zwykły oddech, które mogły dać w wyniku odpowiedź na jego pytania, albo śmierć.

Nadał swemu głosowi szorstką, wyzywającą intonację – głosu Bronda Holla.

— Dlaczego powiedziałeś: *Orion*? Nawet przez chwilę się nie zastanawiałeś. Co ty wiesz, Garr, czego nie wie reszta z nas?

Garr Atten spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

— Niczego ci teraz nie mogę powiedzieć. Musisz poczekać…

Mason spojrzał mu prosto w oczy.

— Poczekać — powiedział. — To doprawdy świetne. Kiedy nad naszymi głowami wisi eskadra krążowników, ja i cała reszta z nas, mamy czekać aż ty będziesz gotów powiedzieć nam, po co one tu przyleciały. Nie sądzę, by inni to kupili, Garr. Myślę, że będą chcieli wiedzieć jak bardzo nadstawiają karku i za co.

Coś przeraźliwie spokojnego pojawiło się na twarzy Garra Attena. Coś, co wywołało w Masonie poczucie chłodu, w tym całym klejącym upale.

— Brond, nie próbuj mnie szantażować — oznajmił. — Nie lubię tego. Chcę, żebyś zatrzymał tę informację dla siebie, to prawda. Ale nie próbuj wykorzystać jej do zmuszenia mnie, abym ci cokolwiek powiedział.

Jak mocno mogę go nacisnąć? pomyślał Mason. Jak mocno nacisnąłby Brond Holl, gdybym był rzeczywiście nim i myślał tylko o swej własnej skórze, a nie o tym wszystkim o czym ja teraz myślę?

Niech diabli wezmą to gorąco i te świerszcze, czy jakkolwiek nazywają się te obrzydliwe małe robale na tej śmierdzącej planecie…

— Nie mam zamiaru zawierzyć co swojego bezpieczeństwa, bez choćby słowa wyjaśnień — oświadczył Garrowi Attenowi. — Te krążowniki…

Urwał w środku słowa, nasłuchując.

Nasłuchując czegoś.

Nasłuchując niczego.

Nocne owady, jak na komendę wszystkie przestały grać. Ogród dżungli za otwartym oknem ucichł, jak gdyby wstrzymując oddech.

— Te krążowniki — gładko kontynuował Mason — są daleko. Przesunął się do stojącego w rogu biurka. — Mogę ci zaznaczyć z grubsza ich pozycję na mapie…

Dojrzał zaskoczenie, a po chwili nagłe zrozumienie w oczach Attena.

— Tak, dobrze by było — powiedział Hydranin i nachylił się nad ramieniem Masona, obserwując z zainteresowaniem jak ten pisze: ″Ktoś jest w ogrodzie…″

Garr Alten wyciągnął rękę i dotknął lampy. W pokoju zapadła ciemność. W tej samej chwili Mason usłyszał szept Attena:

— Wynosimy się stąd!

On jednak już był w ruchu. Rzucił się przez pół pokoju ale zanim dotarł do drzwi, koło biurka na krótko rozbłysła mała gwiazda, intensywna i oślepiająca jak nowa. Po chwili zniknęła, a wraz z nią większa część biurka i fragment sąsiadującej z nim kamiennej ściany – wszystko to całkowicie bezszelestnie.

Pocisk energetyczny – śmiertelnie niebezpieczny i cichy.

Mason pośpiesznie pokonał resztę drogi przez pokój, wyciągając swą własną broń. Usłyszał lekkie *spung* mechanizmu wyrzucającego i drugi rozbłysk światła pojawił się i zniknął za oknem. To Garr Atten odpowiedział ogniem. A więc, był cały i zdrowy. Dobrze. Zabójca spudłował…

Dobrze. Tak, naprawdę dobrze. Również dla Hugha Masona, ponieważ obaj stali razem koło biurka i piguła energii równie dobrze mogła być wymierzona w każdego z nich. Tylko, kto strzelał?

Fayaman, pragnący dostać Bronda Holla?

Któryś z kapitanów, chcący usunąć z drogi Garra Attena, w oporze przeciwko nowemu reżimowi prawa i porządku?

Czy też ktoś, kto nazywa się V’rann, próbujący dopaść zamaskowanego szpiega z Ziemi, Hugha Masona?

Mason wydostał się na korytarz, z Garrem Attenem tuż za sobą, tak blisko, że niemal się zderzyli. Za nimi w pokoju, pojawił się kolejny nagły rozbłysk światła i kiedy biegli korytarzem, drzwi przez które przed chwilą przemknęli zniknęły w bezgłośnym blasku.

— Na drugą stronę domu — powiedział Mason. — Wydostaniemy się na dwór i zajdziemy go dookoła…

Garr Alten posłał mu dziwne spojrzenie, ale nic się nie odezwał. Pobiegli długim korytarzem, w którym pół tuzina humanoidów-służących

zbiło się w ciasną kulę w jednym z kątów, spoglądając tylko zaniepokojonymi małymi oczkami. Wypadli na taras, z czarnego, śliskiego od rosy kamienia, a potem okrążyli od tyłu narożnik domu. Mali nocni muzykanci nadal siedzieli w ciszy, schowani między liśćmi i źdźbłami trawy, czekając aż giganci przestaną wstrząsać ich światem. Powietrze cuchnęło wymieszanymi zapachami życia i śmierci, typowymi dla dżungli, nieważne gdzie by ona nie była. A śmierć nadal czaiła się gdzieś w cieniach pod wysokimi polipowymi drzewami, gdzie zielonkawe światło księżycowe mieszało się z mgłą, jak słodka trucizna w pucharze.

Garr Atten w milczeniu kiwnął ręką i rozdzielili się. Każdy z nich stał się teraz swoją własną twierdzą obronną, czołgając się w cieniu, podczas gdy zimna rosa przesiąkała mu przez ubranie, zatrzymując się, wzdrygając z zaskoczenia na ruch mijanych drzew polipów, przemykając szybko jak jeleń przez miejsca jaśniej oświetlone księżycowym światłem, z nerwami napiętymi do ostatnich granic w oczekiwaniu na nagły rozbłysk i uderzenie destrukcji.

Oni podchodzili kogoś, a ktoś podchodził ich.

Ściana domu z oknem przy którym stał zabójca, pokazała się w świetle księżyca czernią i pustką. Mason pozostał w cieniu między dwoma wysokimi drzewami polipowymi, nie zbliżając się do żadnego z nich, i nasłuchiwał. Otarł dłonie o ubranie, żeby pozbyć się z nich tłustego potu, przekładając pistolet z jednej ręki do drugiej. Ręce miał zupełnie zimne, podobnie jak i resztę ciała, pomimo wilgotnego gorąca nocy.

Panowała głucha cisza, tak jakby cała ta planeta była martwa od tysiąca lat.

Wtedy, nagle, Mason usłyszał ruch i szmer, ze dwadzieścia jardów od siebie. Było to polipowe drzewo, które wykręcając się i odchylając gałęzie, wywołało ten leciutki odgłos. Natychmiast, zdając sobie sprawę, że ten dźwięk oznacza, iż ktoś prześlizguje się w pobliżu groteskowego drzewa, Mason rzucił się w bok i upadł na mokrą trawę kilkanaście stóp dalej.

Tam, gdzie stał przed chwilą, pojawił się bezgłośny rozbłysk światła.

Przetoczył się i odpowiedział strzałem ze swojego pistoletu rakietowego, celując w miejsce w którym poruszyło się drzewo polipowe.

Jego pocisk trafił w drzewo, eksplodując kolejną bezgłośną gwiazdą energii. Ale koło drzewa stał człowiek, człowiek, którego broń unosiła się właśnie do kolejnego strzału wymierzonego w Masona, kiedy gwiazda dotknęła jego boku.

Zapadła ponownie ciemność, w której rozległ się odgłos podobny do chrząknięcia, a potem głośny trzask upadającego trafionego drzewa polipowego.

Mason zerwał się na nogi i podbiegł do tego miejsca. Wolną ręką wyciągnął z kieszeni latarkę i zapalił ją.

Leżało tam ciało Chana Fairliego, twarzą do góry, z rozszerzonymi ze zdumienia i niewidzącymi oczyma. Jedna ręka ciągle ściskała broń. Druga ręka, całe ramię i część jego ciała zostały dotknięte przez gwiazdę i zniknęły.

Kiedy Mason spoglądał na kamienną niebieską twarz martwego Liranina, myśli kotłowały mu się w głowie. Czy Fairlie był agentem Oriona? Czy to był – V'rann?

— Jeśli tak — pomyślał Mason, — mógł podejrzewać, że Brond Holl uciekł w bardzo dogodnej chwili. Że może to być sztuczka pozwalająca wysłać tu w przebraniu terrańskiego agenta. Ale sprowadził ze sobą kobietę, a to zupełnie nie pasuje…

Myśli Masona przeskoczyły na inny temat. Ta lirańska dziewczyna, która przyleciała do Marchii razem z Fairliem – ona ciągle żyła. Mógłby się od niej dowiedzieć…

Nagle usłyszał szmer kroków i odwrócił się do tyłu. Promień latarki pochwycił wysoką postać Garra Attena, zbliżającego się pomiędzy rozchylającymi się drzewami.

— Myślałem już, że cię dostał — powiedział Garr. — Kto to, u diabła… — Zamilkł, ponieważ Mason przesunął krąg światła latarki na martwą twarz. Po chwili stwierdził. — Chan Fairlie. Ale on tu jest dopiero od paru tygodni. Po co miałby próbować…

Urwał i czujnie spytał Masona.

— Czy może kiedyś już go spotkałeś, Brond?

— Nie — odparł, zgodnie z prawdą Mason.

Garr Atten skinął głową.

— Dzisiaj wieczorem też nie wyglądał, jakby cię rozpoznawał. Nie mógł więc mieć nic przeciwko tobie. Wobec tego, to mnie próbował dzisiaj zabić.

— Jest tu od niedawana. Czemu miałby to robić?

Gar zauważył ponuro:

— Mógł zostać do tego namówiony przez któregoś z kapitanów. Przez kogoś, kto chce zdobyć to, co ja mam.

— A co masz, Garr? — śmiało spytał Mason.

Hydranin spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

— Tam, w środku, uratowałeś mnie przed śmiercią, Bron. Jestem ci coś winien. Powiem ci więc.

Jego wielka postać, w zielonej, zamglonej księżycowej poświacie, zdawała się wyrastać na gigantyczną, a głos chrapliwie pulsował.

— Mam pewnego człowieka, Brond. Człowieka, który pojawił się tu, kiedy byłeś we więzieniu – i który zna tajemnicę potęgi, jakiej nie widziała jeszcze ta galaktyka.

Mason utrzymał niewzruszony wyraz twarzy, ale cały jego mózg zakrzyczał: *Ryll Emrys*!

— A mając w dłoni tę potęgę — mówił dalej Garr Atten, — mogę uczynić z Marchii niezależne królestwo. Mówię ci, jeśli spróbują mnie powstrzymać, mogę zgnieść te wszystkie gwiezdne królestwa jak skorupki jajek!

Patrząc na tę twardą jak skała twarz, ciemną z pasji i poczucia misji, Masona ponownie ogarnęło uczucie chłodu. Pamiętał umierającego Oliphanta, ostrzegającego przed bronią o kosmicznej mocy i przez moment przed oczyma stanęła mu galaktyka, jej wszystkie imperia i gwiezdne królestwa, stojące na krawędzi przepaści.

— Tylko, że mamy mało czasu — z napięciem oznajmił Garr Atten. — Za mało. Biorąc pod uwagę te obserwujące nas krążowniki Oriona i buntujących się przeciwko mnie moich własnych kapitanów, muszę uderzyć teraz, albo nigdy.

V

Planeta toczyła się w stronę świtu. Jego pierwsze oznaki zaczęły się już wkradać na wspaniałe niebo gwiezdnego skupiska, gromady gwiazd bledły coraz bardziej, w miarę jak zza horyzontu zaczęło się wylewać zielone światło. Nad widnokręgiem pojawiły się strzelające w górę włócznie zielonych promieni, a następnie szmaragdowe słońce wzeszło i zajaśniało gorącym blaskiem nad polipowymi dżunglami wokół Quroon City.

Humanoidalni służący Garra Attena zabrali martwego człowieka, aby go pogrzebać, szczebiocząc między sobą jak małpy. Sam Garr krążył w tą i z powrotem po wielkim pustym pokoju, w którym niemal nie spotkała go śmierć. Mason przyglądał mu się uważnie.

— Domagają się nieustannie, żebym im powiedział, co planuję — mruczał pod nosem Garr. — W porządku, powiem im. Możesz przekazać wszystkim kapitanom informacje o tym, co się tutaj stało dzisiejszej nocy.

Mason chętnie by już poszedł, ponieważ miał własne plany i musiał natychmiast zająć się ich realizacją. Ruszył w stronę drzwi.

— Pamiętaj tylko, żeby nic im jeszcze nie mówić o tych oriońskich krążownikach — zahuczał Hydranin.

Mason skinął głową.

— Nie powiem.

Garr Atten wpatrywał się w niego. Nagle podszedł, stając przed Masonem, i popatrzył mu badawczo w twarz. Oznajmił:

— W pewien sposób, Brond, z ciebie jest nic dobrego. Ale nigdy nie widziałem, żebyś kłamał. Powiesz mi teraz jedną rzecz?

— Co?

— To! — odparł Garr. — Jedno słowo prawdy. Jesteś ze mną, czy przeciwko mnie?

Mason poczuł dziwne uczucie. Przybył w to miejsce z misją dla Imperium Terrańskiego, dla utrzymania pokoju w galaktyce, i będzie łamał ludzi jak zapałki, żeby osiągnąć swoje cele. Ten Hydranin był przestępcą i marzycielem, ale był również prawdziwym człowiekiem.

— Prawda wygląda tak, Garr — odparł. — Uważam, że zasługujesz na to by zostać gwiezdnym władcą i nie będę przeciwko tobie, chyba że nie będę miał innego wyjścia.

Garr najeżył się.

— Człowiek, który prosi o prawdę jest głupcem. Byłem niemal gotów, aby ci całkowicie zaufać. No dobrze, idź już, przekaż wiadomości kapitanom.

Mason wyszedł na główną ulicę, zalaną oślepiającym zielonym światłem wschodzącego słońca. W pobliskich knajpach ciągle panował gwar i ruch. Zaczął do nich zaglądać, dopóki nie znalazł Hoxiego.

Kiedy Mason przekazał mu wiadomość Garra, oczy starego przestępcy z Ziemi zajaśniały.

— Pewnie, przekażę to wszystkim chłopcom — oznajmił. — A więc Garr w końcu ma zamiar coś nam powiedzieć? Najwyższy czas.

— Gdzie mieszka Chan Fairlie? — spytał go Mason.

Hoxie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A więc ty również chcesz uganiać się za tą jego kobietą? No cóż, to powinno tylko wzmóc miłość Fayamana do ciebie – jak ci mówiłem, on cały czas koło niej się kręci.

Powiedział mu gdzie ma pójść, i Mason wyszedł. Udał się jedną z ulic miasta, wzdłuż której stały czarne kamienne domy i chaty, prowadzącą w stronę dżungli. Znalazł Luę, dziewczynę z Liry, siedzącą przed frontem jednego z nich i uważnie czeszącą swe długie, czarne włosy.

Kiedy szedł, groteskowe polipowe drzewa odchylały się i wykręcały od niego, ona zaś obrzuciła go szybkim zaskoczonym spojrzeniem. Na lekko niebieskawej twarzy dziewczyny widniały czarne, szerokie oczy, a pasiaste jedwabne spodnie i kurtka, które miała na sobie, ściśle opinały jej ciało. Mason pomyślał, że stary Hoxie ma rację i że ta kobieta ciągnęła za sobą kłopoty. Musiał się dowiedzieć, czy było z nią związane coś jeszcze.

— Chan Fairlie nie żyje — poinformował ją prosto z mostu, ponieważ nie widział żadnego innego sposobu na przekazanie tej wiadomości.

Zerwała się na nogi i stanęła ze wstrząśniętą i niedowierzającą twarzą. Przyglądała się mu przez dłuższą chwilę, a potem spytała:

— Kto go zabił? Ty…?

— Tak — odparł Mason. — Przyszedł zamordować Garra Attena i chciał na dokładkę zabić również i mnie. Musiałem więc…

Dotarł do tego miejsca, a potem był za bardzo zajęty, aby powiedzieć coś więcej, ponieważ rzuciła się na niego jak dzika kotka, próbując paznokciami jednej ręki przeorać mu twarz, podczas gdy drugą sięgnęła po wiszącą mu u pasa broń.

Powstrzymał ją, przycisnął rękoma jej ramiona do boków i potrząsnął nią mocno. Szorstko oznajmił:

— Mordercy muszą się z tym liczyć, że mogą zginąć. Powinnaś wcześniej o tym pomyśleć, kiedy tu z nim przyleciałaś.

Lua nagle zaprzestała walki i zalała się łzami.

— Co ze mną teraz będzie?

Mason odparł kwaśno.

— Cieszę się, że twój smutek nie był aż tak wielki, żebyś nie była w stanie pomyśleć o sobie.

Puścił ją i zrobił krok do tyłu. Lirańska dziewczyna nie była już ani okazem seksu, ani gniewną dziką kotką, tylko po prostu wystraszoną dziewczyną, z zalanymi łzami policzkami i drżącymi ustami.

— Kim był Fairlie? — dopytywał się Mason. — Kim on naprawdę był?

Wpatrywała się w niego.

— Nie wiem o co ci chodzi. Pojawił się na Linnabar, gdzie tańczyłam w pałacu-rozkoszy w porcie kosmicznym. Chciał żebym z nim poleciała, powiedział że jest międzygwiezdnym handlarzem i ma niewielki statek. Poleciałam więc. Później przyznał się, że jest przestępcą, że ukradł ten statek i jest w drodze do Marchii, gdzie nie dosięgnie go ręka sprawiedliwości.

To wszystko mogło być prawdą, pomyślał sobie Mason. Ale jeśli Fairlie był zwykłym przestępcą uciekającym do Marchii, dlaczego próbował zabić Garra?

Z drugiej strony, jeśli Fairlie był V'rannem, agentem z Oriona, mógł udawać lirańskiego przestępcę i zabrać dziewczynę ze sobą, jako element kamuflażu ochronnego. A V'rann miał dobre powody, aby podejrzewać, że Brond Holl jest terrańskim agentem i chcieć go zabić.

— Co się ze mną teraz stanie? — ponownie spytała Lua, żałosnym tonem.

Mason chrząknął.

— Nie wydaje mi się, żebyś miała problem ze znalezieniem tutaj kolejnego… obrońcy.

— Fayaman ze Smoka był dla mnie miły — powiedziała Lua, z zamyślonym spojrzeniem w oczach.

Mason pomyślał sobie z niesmakiem, że dziewczyna jest małą, tanią zdzirą, ale trzymał się swego głównego problemu, odkrycia tożsamości Fairliego. Oczywiście, jeśli Fairlie był V'rannem, jego niebieski lirański kolor skóry był zwykłym kamuflażem, ale nowoczesne techniki makijażu były tak dobre, że aby je wykryć, potrzebne było laboratorium. Nie miał laboratorium, a nawet nie miał ciała, ponieważ Garr kazał swoim służącym od razu Fairliego pogrzebać.

Mason podszedł do otwartych drzwi małego, czarnego, kamiennego domu.

— Co chcesz zrobić? — spytała z niepokojem Lua.

Nic jej nie odpowiedział, tylko wszedł do środka i zostawił ją, spoglądającą za nim na wpół wystraszonym wzrokiem.

*****

W kamiennym domu wykorzystywane były tylko trzy ciemne, wilgotne pomieszczenia. Kuchnia była jednym wielkim bałaganem, i stwierdził, że gotowanie i zajmowanie się domem nie należały do talentów Luy. Ale w sypialni jej pozbawione gustu jedwabie i bransolety, leżały starannie poukładane, w idealnym porządku.

Przejrzał szybko bagaże pozostałe po Fairliem. Były to właśnie tego rodzaju rzeczy, jakie mógłby zabrać ze sobą uciekający przestępca – zapasowa broń, mapy, butelki, trochę trójwymiarowych zdjęć dziewczyn, które pewnie wzbudziłyby jej zazdrość, gdyby je zobaczyła. Nie znalazł niczego, co by wskazywało, że Fairlie był V'rannem z Oriona. Z drugiej

jednak strony, gdyby Fairlie był V'rannem, asem wśród tajnych agentów, to byłby za sprytny, żeby zabierać ze sobą coś, co mogłoby go wydać.

Kiedy Mason stał ze zmarszczonymi brwiami, nagle usłyszał z zewnątrz ostry głos Fayamana.

— Lua, właśnie słyszałem, że Garr Atten w końcu ma dziś wyjawić nam swoje plany i…

Przerwa mu głos Lui, wysoki aż do poziomu pisku.

— Chan nie żyje! Brond Holl go zabił, sam mi to powiedział! A teraz on jest w środku!

Mason wyszedł na oślepiające światło zielonego słońca. Z przekleństwem na ustach Fayaman odwrócił się od dziewczyny, próbując sięgnąć ręką z przodu, za koszulę.

Mason powiedział:

— Chciałbym tylko wiedzieć, Fayaman, jak bardzo zaskoczyły cię te wieści. Jeśli to ty skłoniłeś Fairliego do próby zabójstwa Garra, nie powinieneś być w ogóle zaskoczony.

— O czym ty, u diabła, mówisz? — dopytywał się Fayaman, jego biała jak marmur twarz była napięta i groźna.

— Powiedział mi, że Chan próbował zabić Garra — łkała Lua. — Powiedział, że to właśnie dlatego zabił Chana. — Łzy ponownie poleciały jej z oczu, kiedy dodała: — I potrząsał mną.

Fayaman zawahał się, nie łapiąc za trzymaną pod koszulą broń. Na twarzy pojawił mu się cień niezdecydowania.

— To prawda — potwierdził Mason. — Garr nie sądzi, by Fairlie, nowy przybysz w Marchii, mógłby sam myśleć o jego zabiciu. Bardzo chętnie by się dowiedział, kto do tego go namówił.

Niezdecydowanie Fayamana pogłębiło się i powoli wyjął rękę zza koszuli. Po chwili stwierdził:

— Rozumiem. Odegrałeś wielkie przedstawienie ratowania Garra, żeby się do niego zbliżyć. Cwany jesteś, Bron. Problem polega na tym, że nigdy nie jesteś wystarczająco cwany.

— Z pewnością nie byłem, kiedy wyruszyłem na rajd i pozwoliłem ci za moimi plecami wysłać informacje, dzięki którym mnie złapali — ochryple odparł Mason. — Nigdy więcej już nie dam ci takiej szansy. Zanim gdzieś się stąd ruszę, upewnię się, że mi nie zaszkodzisz.

Fayaman odpowiedział mu słabym uśmiechem.

— W każdej chwili, Bron. Kiedy tylko będziesz sobie życzył.

Mason przeszedł koło nich i zauważył, że Lua już zaczęła przytulać się do Fayamana, jak szczeniak próbujący zdobyć nowego pana.

Nie wydawało mu się, żeby zaszedł zbyt daleko na drodze realizacji swojego celu. Chciałby wierzyć, że Chan Fairlie był V'rannem, ponieważ to by znaczyło, że agent Oriona nie żyje. Nie miał jednak na to żadnych dowodów. A gdyby to nie było prawdą, gdyby V'rann krył się za kimś innym stąd, wtedy Mason mógłby wpaść na prawdziwą minę. Agent Oriona tu, na miejscu, eskadra orionidzkich krążowników czekających w pobliżu, w mgławicy, wszystko to, kiedy odnajdzie się zaginiony Ryll Emrys, mogło rozpętać piekielne kłopoty.

Rozmyślając o swoich problemach, poszedł z powrotem do Hoxiego. Stary Terranin powinien mieć już do tego czasu jakieś wieści. Pozdrowił Masona powitalnym pianiem.

— A więc zabiłeś Chana Fairlie? No, no, sprawy na Quroon znowu toczą się w żywszym tempie. Pewnie teraz ty i Fayaman będziecie chcieli załatwić między sobą sprawę tej dziewuchy!

Klepnął Masona z podziwem w plecy.

— Lepiej chodźmy do mnie, Brond. Tak długo cię nie było, że twój dom zmienił się w prawdziwą ruinę. Mam kilka niezłych butelek.

*****

Mason poszedł i niebawem siedział już w domu Hoxiego, pijąc z nim dopóki w głowie nie zaczęło mu lekko szumieć. Zmusił się, żeby jasno pomyśleć, ponieważ musiał wydostać z Hoxiego informacje, nie wzbudzając jego podejrzeń. Koniecznie musiał się dowiedzieć, czy jacyś nowi przybysze mogą być przykrywką dla V'ranna.

— Nie, ostatnio nie było żadnych śmiałych i krzepkich chłopców, jacy zazwyczaj do nas przybywali — oznajmił z żalem Hoxie, ocierając usta. — Garr stał się trochę zbyt drobiazgowy, nie chce przyjmować zabójców i im podobnych. Tak jakby parę uczciwych zabójstw miało jakiekolwiek znaczenie.

— Wspominałeś coś o gościu nazywającym się Zin Diri, który był tu jakiś czas i odleciał — przypomniał mu Mason.

— To nie był dobry materiał na pirata — stwierdził Hoxie. — Słaby, skurczony człowieczek, który twierdził, że jest z Argo, chociaż jak dla mnie na to nie wyglądał. Ale to już było parę miesięcy temu – Garr dał mu transport gdzieś indziej.

Nie wygląda, żeby to mógł być V'rann, pomyślał sobie Mason. Ale nagle uświadomił sobie, że to mógł być Ryll Emrys.

Ale V'rann? Mason zdał sobie sprawę, że opanowało go obsesyjne uczucie niepokoju wywołanego faktem, że być może agent Oriona ciągle jeszcze żyje. A biorąc pod uwagę, że Garr Atten miał w ciągu najbliższych kilku godzin wyjawić swój sekret…

W tym momencie Masonowi przyszła do głowy pewna myśl. Jeśli V'rann tu był, kryjąc się w przebraniu innej osoby, był pewien sposób na jego wykrycie, po spotkaniu kapitanów z Garrem, dzisiejszej nocy. V'rann z pewnością zaplanował jakiś sposób na to by dowiedzieć się, co powie Garr i potem będzie starał się działać szybko. To była szansa dla Masona.

Mason stwierdził, że to jedyny pomysł na jaki wpadł, i nie miał wyjścia, musiał się go trzymać. Aby uniknąć dalszego picia ze starym, znanym z tęgiej głowy Terraninem, udał że zasnął.

— Nieźle cię to więzienie musiało osłabić, skoro tak szybko odpłynąłeś, Brond — usłyszał jak mówi Hoxie, a potem udawany sen zmienił się w prawdziwy.

Hoxie, nie wyglądający ani odrobinę gorzej, obudził go kilka godzin później.

— Czas iść na spotkanie z Garrem. Z pewnością nie chciałbyś tego przegapić.

*****

Kiedy wraz z Hoxiem dotarli do domu Garra Attena, zielone słońce już zaszło i na ciemniejącym niebem ponownie pojawiły się gromady gwiazd. Obok budynku tu i tam widać było teraz posterunki uzbrojonych ludzi, którzy pozwolili im wejść do środka.

— Myślę, że Garr nie chce by jeszcze ktoś poza nami poznał jego wielką tajemnicę — wymamrotał stary Terranin.

Mason uważał, że Hoxie ma rację, sądził jednak, że jeśli V'rann żyje, paru strażników nie powstrzyma go przed podsłuchaniem.

Garr Atten stał w pustym pokoju i ponuro spoglądał na swoich kapitanów. Wszyscy byli na miejscu, ludzie i humanoidzi, wszyscy milczeli, ale na ich twarzach widać było z trudem powstrzymywane emocje. A oczy Fayamana jaśniały jak ślepia psa myśliwskiego na tropie.

Garra brzmiał gorzko.

— Nie chcieliście mi zaufać i w ten sposób muszę podjąć ryzyko utraty wszystkiego, przez przeciek informacji. No dobrze, sami tego chcieliście.

Obrzucił ich ponurym spojrzeniem, zanim nie zaczął mówić ponownie.

— Przez lata mieliśmy wspólne marzenie, przekształcenia Marchii w wolne i niezależne królestwo. Było to niemożliwe, ponieważ gdybyśmy proklamowali wolne królestwo, wszyscy władcy gwiazd w tej części galaktyki, rzuciliby się na nas, żeby nas powstrzymać. A my nie mamy dostatecznych sił do ich odparcia. A więc warunkiem, byśmy mogli zmienić Marchie w państwo, jest zdobycie odpowiednio potężnej broni.

Przerwał ponownie, a następnie powiedział:

— Kilka miesięcy temu pojawił się tu pewien uciekinier, który nazywał się Zin Diri. Wyglądał na przyzwoitego człowieka, więc udzieliłem mu schronienia. Był mi bardzo wdzięczny. Tak wdzięczny, że po pewnym czasie zaczął się martwić i w końcu coś mi wyznał. Oznajmił, że naprawdę nazywa się Ryll Emrys, że był naukowcem w Imperium Oriona. Dokonał jakiegoś dalekosiężnego odkrycia naukowego, ale przeraził się, gdy Orionidzi dowiedzieli się o tym i zażądali od niego zaadaptowania go do postaci broni, której będą mogli użyć w podbojach dla Króla Oriona. Ryll Emrys powiedział mi, iż był tak przerażony, że potajemnie uciekł i w końcu jakoś udało mu się dotrzeć do Marchii.

— Teraz jednak zaczął się martwić. Czuł, że wcześniej czy później, Orion dowie się, gdzie jest. A kiedy to się stanie, przylecą tu, żeby zabrać go siłą, a nas rozbiją w drobiazgi, jeśli spróbujemy się im sprzeciwić. Był tak bardzo wdzięczny, za schronienie, którego mu udzieliliśmy, i strasznie go dręczyło, że jego obecność może sprowadzić na nas zagładę.

Śniade oczy Garra Attena rozbłysły.

— Wtedy dostrzegłem wielką szansę dla nas. Powiedziałem Ryllowi Emrysowi: „Daj nam tę swoją nową broń. Jeśli jest tak potężna jak mówisz, będziemy mogli jej użyć do powstrzymania Oriona, czy kogokolwiek innego.” Początkowo jednak wzbraniał się przed tym

pomysłem. Stwierdził, że uciekł tak daleko, żeby ta rzecz nigdy nie została wykorzystana do celów wojennych, że nie może tego zrobić. Tłumaczyłem mu, że Orion użyłby tej broni dla prowadzenia podbojów w galaktyce, a my potrzebowaliśmy jej tylko do własnej obrony, do ustanowienia w Marchiach królestwa, które mogłoby być miejscem azylu dla innych ludzi, takich jak on.

— To w końcu go przekonało. Zgodził się zbudować dla mnie nową broń. Ale musiał to zrobić na niezamieszkałej planecie. A więc, zabrałem go głębiej w skupisko, w takie miejsce gdzie znajdują się tak wielkie łachy pyłu i gruzu międzygwiezdnego, że jedyną przez nie drogą jest Diabelski Kanał. Za Kanałem znajduje się umierający układ gwiezdny, w którym na żadnej z planet nie ma życia, chociaż sądząc po ruinach na najbliższym od słońca globie, kiedyś istniały tam jakieś humanoidalne stworzenia. Tam Ryll Emrys przystąpił do pracy. Zaglądałem do niego wielokrotnie, przywożąc mu potrzebne materiały. Ma gotowy jeden egzemplarz broni – ale będziemy potrzebować jej więcej, znacznie więcej, zanim spróbujemy stawić czoła sąsiednim gwiezdnym władcom, nie wspominając już o Orionie. Właśnie dlatego potrzebuję tyle czasu, ile tylko możecie mi dać.

Mason, podobnie jak i pozostali, słuchał do tej pory w ciszy i skupieniu. Teraz jednak, usłyszał jak Hoxie zadaje pytanie, które tkwiło w głowach wszystkich kapitanów.

— Ale co to za broń, Garr? Co odkrył Ryll Emrys?

Garr odpowiedział powoli cedząc słowa.

— Odkrył coś, czego naukowcy szukali już od czasów starej Ziemi. Znalazł sposób na neutralizację zewnętrznego przyciągania grawitacyjnego z dowolnego wybranego lub ze wszystkich kierunków.

Spoglądali pustym wzrokiem, zaś Garr Atten dodał jedno ważne zdanie:

— Potrafi tego dokonać na skalę planetarną.

Mason natychmiast poczuł chłód. Koszmarne możliwości, wiążące się z czymś takim, zaczęły przemykać przez jego wykształcony umysł, podczas gdy piraccy kapitanowie nadal spoglądali na Garra Attena z zakłopotaniem.

— Ale co ona takiego robi? — dopytywał się dalej Hoxie.

Głos Garra Attena zahuczał jak odległy grom.

— Czy nie rozumiecie tego? Neutralizacja grawitacji na taką skalę może wyeliminować wszystkie oddziaływania na planetę, poza jednym, z wybranego kierunku. Możecie wprawić tę planetę w ruch, posyłając ją takim kursem, jakim będziecie chcieli – zacznie spadać w wybraną stronę, coraz szybciej i szybciej.

Twarz mu się rozpłomieniła.

— Czy teraz zrozumieliście? Aparatura Rylla zmieni tę martwą planetę w pocisk. Jeśli zbudujemy podobne urządzenia na innych martwych globach, będziemy mieli do dyspozycji tyle planetarnych pocisków, ile będzie nam potrzebne. I czy pograniczni władcy gwiazd, czy nawet sam Król Oriona, ośmielą się do nas przylecieć, żeby nas zgnieść, kiedy będziemy mieli pięści zdolne rozbijać całe układy gwiezdne?

Mason wręcz osłupiał. Zupełnie nie docenił potencjału tajemniczego odkrycia Rylla Emrysa.

Kompletnie nie spodziewał się czegoś o tak niesamowitej sile destrukcji. Nic dziwnego, że Janissar z Oriona wysłał całą eskadrę krążowników na drugi koniec galaktyki, żeby przytaiła się, uderzyła i zdobyła broń o takiej straszliwej sile.

Ale piraccy kapitanowie rozpłomienili się tym samym podnieceniem, które płonęło na twarzy Garra Attena. Pomieszczenie wypełnił krzyk głosów. Tylko na kilku twarzach pojawiły się cienie strachu i grozy.

— Na wszystkich bogów Rigel, z czymś takim moglibyśmy podbić całą galaktykę! — krzyczał Shaa.

— Nie — odparł Garr Atten. — Zapomnij o tym pomyśle. Większość z nas jest tutaj, ponieważ te przeklęte ambicje gwiezdnych władców, wyrzuciły nas w ten czy inny sposób z naszych domów. Nie bądźmy tacy, jak oni. Przysiągłem Ryllowi Emrysowi, że użyjemy jego broni tylko do obrony i tak będzie.

Obrzucił ich wściekłym wzrokiem.

— A teraz mnie posłuchajcie. Natychmiast polecę, aby skonsultować się z Ryllem Emrysem co do ludzi i materiałów, których będziemy potrzebowali, do zbudowania tych urządzeń na większej liczbie martwych planet. Żeby to zrobić, musimy mieć jak najwięcej czasu. Jeśli któryś z was wygada komuś coś na ten temat, osobiście go zabiję. Zrozumiano?

Wyszli z domu jakąś godzinę później, pełna napięcia, rozemocjonowana grupa. Mason był pomiędzy pierwszymi i natychmiast wyślizgnął się w wilgotną ciemność. Skręcił w boczną drogę i zaczął biec.

Biegł, jakby ścigał się z kosmiczną zagładą. Nad głową płonęły mu gwiazdy otaczającego Quroon skupiska. A kiedy pomyślał o tym, co się dzieje na położonej między tymi gwiazdami martwej planecie, o kryjącym się tam zagrożeniu dla pokoju w galaktyce, jeszcze przyśpieszył, zmierzając ciemnymi bocznymi drogami do domu Hoxiego.

Kiedy wychodzili na spotkanie, zauważył, że pod domem stoi poobijany samochód odrzutowy starego Terranina, i modlił się, żeby ciągle tam był.

Na szczęście był. Mason wskoczył do środka i pomknął samochodem w kierunku wyjazdu z Quroon City, pędząc bez świateł bocznymi uliczkami, aż dotarł do drogi przez dżunglę wiodącej do portu kosmicznego.

Cały czas oglądał się do tyłu, ale za nim nikogo jeszcze nie było. Jeśli V'rann nadal żyje, wkrótce ktoś się pojawi, pomyślał. Tajemnica została ujawniona i pierwszą rzeczą, jaką powinien zrobić V'rann, było wysłanie wiadomości do oriońskich krążowników, czekających w Mgławicy Hantle. Wiedział zaś od Hoxiego, że w samymi miasteczku, nie było urządzeń komunikacyjnych dalekiego zasięgu, a więc V'rann musiał przyjechać do portu, aby użyć komunikatora statku, albo wieży radarowej.

Tuż przed portem kosmicznym, Mason zjechał z drogi i zatrzymał samochód pomiędzy ciemnymi, polipowymi drzewami. Wysiadł, wyciągnął swój pistolet rakietowy i przyczaił się w cieniu, tuż obok krawędzi portu.

Zaczął czekać.

Wielkie statki na płycie lądowiska jasno lśniły w świetle dwu jadeitowo-zielonych księżyców, ścigających się nawzajem nad horyzontem. Światła

na wieży radarowej świeciły stałym blaskiem. Panowała zupełna cisza poza dźwiękami muzyki nocnych owadów dżungli, dobiegającymi zewsząd, ale z pewnej odległości od niego.

Po pewnym czasie pojawił się inny dźwięk i Mason wytężył słuch. Był to warkot motoru, zbliżający się drogą z Quroon City.

Z zapalonymi reflektorami, przemknął koło niego z rykiem samochód i wpadł do portu kosmicznego.

VI

Mason nie ośmielił się strzelić, ponieważ nie widział kto jest w samochodzie, a mógł to być również Garr Atten. Przecież Garr wspomniał na spotkaniu, że zaraz poleci zobaczyć się z Ryllem Emrysem. Nie śmiał więc podjąć ryzyka.

Mason pobiegł po płycie lądowiska za samochodem. Pomknął ze wszystkich sił w stronę długiego rzędu pirackich statków, skręcając między dwa pierwsze, żeby zniknąć z pola widzenia. Nogi pędzącego Masona mocno uderzały o nawierzchnię lądowiska. Mijał wieże kolejnych statków, z których wystawały groźne wyrzutnie rakiet, połyskując w księżycowym blasku.

Przebiegając między dwoma ogromnymi pojazdami zobaczył samochód. Stał zaparkowany ze zgaszonymi światłami koło jednego z okrętów. Mason od razu zorientował się do kogo on należy, widząc wymalowany na dziobie znak płomienia rakietowego. Znał go dobrze ze wspomnień Bronda Holla, który miał wszelkie powody, aby pamiętać ten określony pojazd.

Był to statek Fayamana.

Czy Fayaman tak naprawdę był V’rannem? Nie było to niemożliwe.

Było to nawet całkiem możliwe. Wywiady wielu imperiów dobrze znały sztuczki z maskowaniem i wcielaniem się w inne osoby. Jeśli on, Mason, mógł grać rolę Bronda Holla, to as wywiadu Oriona, równie dobrze mógł stać się Fayamanem.

Podbiegł do statku. Śluza powietrzna była zamknięta i zaryglowana, więc bezskutecznie ciągnął za uchwyt.

Mason, coraz bardziej zdesperowany w miarę uciekającego czasu, odskoczył nieco od statku. Pośpiesznie nacisnął na spust i zapłonęły trzy szybkie bezdźwięczne gwiazdy, a kiedy zgasły, właz śluzy zniknął razem z częścią otaczającej go metalowej burty.

Rzucił się do środka przez powstałą wyrwę.

Przed Masonem znajdowała się oświetlona główna zejściówka i kiedy przeskakiwał przez postrzępiony otwór, zobaczył zbiegającego po jej

stopniach Fayamana. Z białej twarzy pirata biła żądza śmierci, a w ręku trzymał broń. Obaj wystrzelili niemal jednocześnie.

W pośpiechu, obaj chybili. Kula rakietowa Fayamana przeszła Masonowi koło głowy i pomknęła w ciemność przez dziurę po właziе.

Ale pocisk Masona, niemal zawadzając o Fayamana, uderzył w znajdującą się za nim ścianę.

Bezgłośna biała gwiazda zapłonęła jasnym blaskiem, otaczając Fayamana aureolą promieniowania. Pirat upadł.

Kiedy Mason podszedł i popatrzył na leżącego pirata, nie zostało z niego zbyt wiele. Nagle Terranin uniósł wzrok. Coś usłyszał.

Szmer głosu, z góry, z kabiny komunikatora.

W szaleńczym pośpiechu Mason pomknął schodami na górę. Coraz wyraźniej słyszał czyjś głos, pośpiesznie mówiący o martwej planecie i w jaki sposób do niej dolecieć. Mason poznał go.

Wpadł do kabiny komunikacyjnej. W środku była Lua, dziewczyna z Liry. Mówiła szybko do mikrofonu komunikatora dalekiego zasięgu.

Mason pochwycił ją jedną ręką, drugą sięgnął i wyłączył wszystkie przełączniki. Potem odwrócił Lirankę twarzą do siebie.

Roześmiała mu się prosto w twarz.

— Trochę się spóźniłeś. Nawiązałam łączność z eskadrą.

Nie była już tą mocno wystraszoną dziewczyną, z którą rozmawiał dzisiejszego ranka. Maska delikatnego, nieśmiałego wyglądu całkiem z niej opadła i jej twarz stała się równie ostra i bezlitosna jak piękne ostrze miecza, a oczy błyszczały wyłącznie kpiną i pogardą dla niego.

Mason już wiedział. Wyszeptał jej imię:

— V’rann.

Ponownie się roześmiała.

— Tak, Terraninie. Nie wiem jak ty się nazywasz, ale kiedy Brond Holl tak dogodnie wydostał się z więzienia, ad razu podejrzewałam, że terrański agent pojawi się tu z jego twarzą. A dziś rano, potwierdziłeś jeszcze moje podejrzenia.

Drwina w jej oczach pogłębiła się. Była tajnym agentem i ukoronowała swoją karierę najwspanialszym osiągnięciem, a w chwale tryumfu zarówno śmierć dwojga ludzi, jak i jej osobisty los, nie liczyły się dla niej ani trochę.

— Nawet byś nie pomyślał, że as agentury Oriona może być kobietą, co? — szydziła z niego. — Podejrzewałeś Fairliego, nie mnie. A przecież mężczyzna, Fairlie, był tylko podwładnym wykonującym moje rozkazy. I fuszerującym je – tak jak wtedy, kiedy posłałam go, żeby zabił ciebie i Garra.

Mason powiedział bardzo powoli.

— A Fayaman wiedział kim byłaś i współdziałał z tobą w tej sprawie.

— Fayaman — stwierdziła pogardliwie — był zwykłym głupcem. Łatwo pozyskałam go obietnicą, że jeśli dostaniemy Rylla Emrysa, Orion uczyni go tutaj królem. Naprawdę w to uwierzył!

— Jesteś zadowolona, nieprawdaż? — westchnął Mason. — Wiesz co teraz może rozpętać się w galaktyce i jesteś z tego powodu szczęśliwa.

— Wiem, że da to Orionowi decydującą przewagę i nic innego się nie liczy! — rzuciła.

Z dworu wpadł do środka warkot pędzących silników, szybko rosnący w siłę.

— To pewnie Garr i reszta — powiedział Mason. — Powinnaś się domyślić, że wieża radarowa usłyszy twoją wiadomość i wezwie go tutaj.

Wzruszyła ramionami.

— Wiedziałam o tym. Nie liczyłam na to, że stąd ucieknę. Ale, oczywiście, Fayamanowi powiedziałam, że użyję tajnej długości fali, której nikt nie podsłucha. W to również uwierzył.

Ręce Masona zacisnęły się na jej ramionach, a ona popatrzyła na niego z zimnym rozbawieniem. Ponuro oznajmił:

— Nie bądź taka zadowolona, V'rann. Ta eskadra oriońskich krążowników ma kawałek drogi do pokonania. Może uda nam się coś zrobić, zanim dopadną Rylla Emrysa.

Na te słowa drwina zniknęła z jej twarzy i pojawił się na niej nagły niepokój oraz chęć bezwzględnego dążenia do celu.

— O, nie — odparła. — Cokolwiek sprytnego byś nie wymyślił, to nie wypali, kiedy powiem Garrowi i innym, że Brond Holl jest terrańskim agentem.

Ryk silników na dworze stał się bardzo głośny i samochody zatrzymały się koło statku Fayamana. Na dole rozległ się tupot kroków.

— Pomyślałem również i o tym — stwierdził Mason.

Nagle odsunął pięść do tyłu i uderzył ją z całej siły w podbródek.

Oczy V'rann zaszły mgłą i zawisła mu w ramionach. Położył ją na podłodze. Rozległy się gniewne, zdenerwowane głosy, a po chwili do kabiny komunikacyjnej wpadł Garr Atten, a za nim Hoxie, Shaa i cały tłum pozostałych.

Twarz Garra była straszna. Popatrzył na nieprzytomną dziewczynę, a potem na Masona i powiedział:

— Wieża radarowa wezwała mnie, słysząc wysłaną przez nią wiadomość. A więc, to ona jest szpiegiem Orionidów?

Mason skinął głową.

— Tak. I ściągnęła ich tutaj. Dokładnie teraz, eskadra Orionidów, która kryła się w Mgławicy Hantle, rusza w drogę do martwej planety, po Rylla Emrysa. Fayaman natychmiast jej wszystko zdradził.

Potężne ramiona Garra Attena opadły bezradnie, a na jego twarzy pojawił się ponury wyraz. Stał, z bezwładnie zwisającą w dłoni bronią. Piraccy kapitanowie spoglądali po sobie znacząco, ale żaden z nich się nie odezwał, dopóki ciszy nie przerwał nosowy głos Hoxie.

— Czyli, to oznacza do widzenia, dla naszej super-broni i naszego gwiezdnego królestwa.

Mason podszedł do Garra Attena.

Przemówił do niego, a jego słowa cięły jak biczem.

— Może tak również i być — oznajmił Mason. — Ale co z ciebie byłby za gwiezdny władca, jeśli tak łatwo chcesz się poddać.

Garr podniósł swoją potężną głowę i z jego śniadych oczu strzeliły płomienie wściekłości. Już na wpół uniósł trzymaną w ręku broń, ale wtedy wyraz jego twarzy zmienił się i popatrzył na Masona z zastanowieniem.

— Jesteśmy bliżej martwej planety, niż oriońskie krążowniki i to dużo bliżej — wyjaśnił Mason. — Mamy niemal tyle samo uzbrojonych statków, co i oni. Możemy wciągnąć ich w walkę na tak długo, żeby zabrać Rylla Emrysa i zniszczyć jego urządzenie, zanim wpadną im w łapy.

Mason czuł, że to desperackie ryzyko, ale gdyby się udało, to może mimo wszystko zdoła wywieźć Rylla Emrysa z Marchii i wytłumić tajemnicę, która była w stanie rozerwać galaktykę na strzępy.

Garr Atten nie był jednak marionetką, którą ktoś mógłby manipulować. Chwila szoku i konsternacji jaką przeszedł, już minęła.

— Możemy rozegrać to znacznie lepiej — oznajmił. — Diabelski Kanał jest jedyną drogą prowadzącą przez ławice pyłu do tej planety. Tam będziemy mogli powstrzymać ich dostatecznie długo, by Ryll Emrys użył swego urządzenia i przemieścił całą planetę, kryjąc ją głębiej w skupisku, gdzie nigdy nie uda im się jej znaleźć.

Jego głos przeszedł nagle w gromki krzyk.

— Wszyscy domagaliście się nowych akcji! Teraz macie szansę na całą ich furę. Jeśli mocno uderzymy na tę eskadrę, uratujemy coś, co pewnego dnia może uczynić Marchie wolnym królestwem. Co wy na to?

Między kapitanami Marchii, ludźmi i humanoidami, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Ich głosy zabrzmiały natychmiast połączonym chórem gwałtownej zgody.

— W porządku, zbierzcie swoje załogi i to natychmiast — rozkazał Garr. — Wszystkie statki mają wystartować w ciągu godziny. Do roboty!

Rozbiegli się z głośnym tupotem buciorów, wyjąc jak wypuszczone na wolność wilki.

Hoxie spojrzał na nieprzytomną V’rann i spytał:

— A co z tą diabelną suką? Jest naprawdę śliczna, ale przez to groźna jak żmija.

— Będzie czas, żeby się nią zająć, kiedy wrócimy – jeśli nam się uda — odparł Garr. — Ten statek z wysadzoną śluzą nigdzie nie poleci. Zamknij ją w kabinie i postaw przed nią strażnika.

*****

Mason poczuł ulgę kiedy V’rann, nadal nieprzytomna, została wrzucona na koję – w pozbawionej okien kabinie, i zamknęły się za nią metalowe drzwi. Kiedy później dojdzie do siebie, może sobie wrzeszczeć ile chce o tym, że Brond Holl jest terrańskim agentem. Do tego czasu już stąd odlecą i klamka zapadnie.

W ogromnym tempie cały port kosmiczny zaroił się od samochodów, ciężarówek, biegających mężczyzn, humanoidów i różnobarwnego tłumu kobiet skrzeczących z ekscytacji oraz obawy. Płonęły jasno światła, huczały wywrzaskiwane przez megafony rozkazy, aż w końcu syreny startowe wygłosiły pośpieszne ostrzeżenie i statek Garra Attena poprowadził całą kawalkadę pirackich okrętów.

Mason był w sterówce z Garrem. Obok nich stał Hoxie, jego twarz błyszczała sępim szczęściem, na perspektywę walki. Mason nie czuł jednak przesadnego zadowolenia. Szanse na odparcie eskadry marynarki wojennej, nie wydawały się mu zbyt duże, a nawet jeśli się to uda, wieści o potężnej broni Rylla Emrysa szybko się rozniosą, a przy takiej nagrodzie połowa władców gwiazd w galaktyce wyciągnie po nią rękę.

Dwadzieścia trzy statki ruszyły w górę, zanurzając się w zielonym blasku Quroon i skręcając ostro na kurs odejścia. Mason zdawał sobie sprawę, że oriońska eskadra liczyła więcej statków, były one szybsze i lepiej uzbrojone. Ale na ponurej, poznaczonej życiem twarzy Garra Attena, patrzącego w ekran skanera, nie było widać nawet śladu obawy.

Zanurzali się coraz głębiej w skupisko, a z ciasno stłoczonego rojowiska gwiazd bił im w oczy ogromny blask. Pośród wielobarwnego światła tysięcy słońc unosiły się potężne chmury, kosmiczne zasłony, równie ogromne jak płaszcz Boga, zaś smugi na ekranie radarowym wskazywały w wielu miejscach ogromną koncentrację ławic pyłu i gruzu kosmicznego. Jednak odważni kapitanowie Marchii nabierali coraz większej prędkości, lecąc prosto na znacznik gwiezdny w postaci trójki jasnych białych słońc.

Przemknęli koło tej jaskrawej trójki, a następnie ostro skręcili w stronę regionu tak gęstej ławicy pyłu, że zwykłe chmury wyglądały przy niej jak czysty kosmos. Mason nieuzbrojonym okiem wyłapywał nieustanne iskrzenie na całym niebie, wiedział że to mrowie większych i mniejszych odłamków gruzu, które unosiły się, zderzały i obracały w przestrzeni, mrugając odbitym światłem gwiazd.

— Lecimy *trochę* za szybko jak na Diabelski Kanał — zauważył Hoxie.

Garr odpowiedział mu, nie odwracając się w jego stronę.

— Nie martw się. Mój pilot zna dobrze Kanał. Przelatywałem tu wiele razy.

Mason miał nadzieję, że pilot wie co robi. Wszędzie wokół nich przestrzeń między gęsto stłoczonymi gwiazdami utkana była mrugającymi punkcikami światła, a ekran radaru pokazywał tylko jedno przejście – wąski, kręty korytarz przez mgłę kosmicznego gruzu.

Statek pędził dalej, a na ekranie widać było rozbłyski innych jednostek ich małej floty, lecących za nimi równie szybko.

— Musimy uderzyć na Orionidów w tym miejscu — oznajmił Garr. — A teraz trzeba to przygotować.

Wydał rozkazy już wcześniej, zanim odlecieli z Quroon i znajdujące się za nimi statki obecnie zaczęły działać zgodnie z nimi. Zmniejszyły szybkość i zaczęły przesuwać się w stronę otaczających kanał ławic. Tam miały się zatrzymać i unosić wśród pyłu i gruzu, gdzie radary Orionidów nie mogły ich dostrzec, a następnie zaatakować nadlatującą eskadrę z zasadzki.

Statek Garra Attena jednak nawet nie zwolnił. Pędził dalej przez Kanał, z pełną szybkością, dopóki nie wydostał się spomiędzy ławic pyłu na otwartą przestrzeń. Tuż przed nimi widać było zamierające czerwone ognie starożytnej gwiazdy, a wokół niej krążyło jedenaście ciemno

połyskujących planet. Dopiero teraz pilot zredukował szybkość i skierował się w stronę ciemnobrązowej planety, położonej najbliżej gwiazdy.

Kiedy podchodzili do lądowania, Mason spoglądał na jej suchy, pozbawiony życia krajobraz. Nie było tu niczego, poza piaskiem i zerodowanymi skałami, a wiatry unosiły chmury pyłu, tworząc małe wiry i obłoki. Potem dostrzegł częściowo porozrzucane stosy czerwonych kamieni, zbyt symetryczne, by mogła stworzyć je natura.

— Na planetach tego układu już od bardzo dawna nie było żadnych żywych stworzeń — wymamrotał Garr Atten. — Ale na tej kiedyś istniało życie. Humanoidalne, sądząc po ruinach.

Statek pomknął w dół i wylądował. Kiedy właz śluzy otworzył się ze zgrzytem, uderzyło w nich ostre, zimne powietrze.

— Ty nie, będziemy musieli szybko chodzić — powiedział Garr, kiedy Hoxie chciał pójść razem z nimi.

Mason wyszedł za Hydraninem na brązową, piaszczystą ziemię i popatrzył na panoramę kompletnego opustoszenia. Z góry spoglądało na nich umierające słońce, słabe podmuchy wiatru świszczały i fałdowały lekko piasek, zaś stosy pokruszonych kamieni wyglądały w smutnym czerwonym świetle jak zapomniane grobowce.

— Tędy — ponaglił go Garr Atten.

Poprowadził go, i kiedy obeszli statek, Mason zobaczył w ruinach jakieś ćwierć mili dalej, ścięty stożek zbudowany z czerwonego kamienia. Był równie wielki jak piramidy na dawnej Ziemi, a w stronę płaskiego wierzchołka prowadziły wycięte stopnie. Na szczycie stożka wznosiła się dziwnie do niego niepasująca nowoczesna budowla z jasnego metalu i szkła, z której dookoła, sterczały w górę błyszczące metalowe żebra, niczym wzniesione w modlitwie ramiona.

— Czy to jest to? — spytał Mason, nawet wtedy niezdolny jeszcze tak do końca w to wszystko uwierzyć.

— Tak, to jest to — odparł Garr. — I pośpiesz się!

Było co najmniej kilka powodów by się pośpieszyć, jak wkrótce zorientował się Mason. Zimne, rzadkie powietrze było zbyt ubogie w tlen i nos, gardło i płuca zaczęły go palić i piec.

— Właśnie dlatego, musieliśmy tu zbudować hermetyczne laboratorium dla Rylla i ludzi, których przydzieliłem mu do tej roboty — wyjaśnił Garr, kaszląc.

Pokonywali kolejne stopnie, wspinając się na potężny kamienny stożek i w końcu docierając do śluzy sześcianu z metalu i szkła. Zauważono, że idą, śluza była otwarta. Szybko weszli do środka.

Wnętrze sześcianu stanowiło jedno duże, ciche pomieszczenie. Wokół niego, wzdłuż ścian stały jakieś błyszczące maszyny. Dla oka Masona wyglądały one obco, a przy tym wydawały się słabowite i małe. Nie było nigdzie widać reaktora energetycznego, chociaż domyślał się, że pewnie musi kryć się on gdzieś w stożku, pod nimi. Jednak pomimo tego, że wiedział, iż to urządzenie działa na zasadzie prostej emisji pewnego promieniowania, neutralizującego siłę nazywaną grawitacją, jakoś nie mógł uwierzyć, że te małe maszyny są w stanie poruszyć planetę.

W środku czekało na nich kilku ludzi, pochodzących z różnych ras. Większość z nich wyglądała na różowych Orionidów. Sam Ryll Emrys nie przypominał człowieka, który potrafi poruszyć planetę. Był szczupłym i niewielkim mężczyzną w średnim wieku, wyglądał jakby nosił na sobie jakieś brzemię, zbyt długo i za wielkie dla niego, które w końcu go przygięło. W głębokich oczach naukowca widać było strach i długo znoszony ból.

— Co się dzieje, Garr? — zawołał ostrym, piskliwym głosem. — Czy nie wróciłeś do nas za wcześnie – może coś poszło nie tak? Powiedz mi!

Garr opowiedział mu o wszystkim. Masonowi wydawało się, że w męce jaka pojawiła się w oczach Rylla Emrysa widzi zapowiedź kosmicznej katastrofy.

— Wiedziałem, że tak będzie — wyszeptał, gdy Garr skończył. — Wiedziałem, że będą na mnie polować, aż mnie znajdą, i że pewnego dnia tak głupio poczynione przeze mnie odkrycie, zostanie użyte do rozpętania wojny.

— Jeszcze cię nie dopadli i nie mają *tego* w ręku — mocno oświadczył Garr, uderzając pięścią w jedną z lśniących maszyn. — Potrafisz poruszyć całą planetę, Ryll. Porusz więc ją! Zabierz ją stąd, głębiej w skupisko, podczas gdy my powstrzymamy oriońską eskadrę.

Ryll Emrys spoglądał na niego z udręką w oczach.

— To nic nie da. Królowie galaktyki nie spoczną, dopóki nie dostaną w swe ręce tej tajemnicy.

— Damy radę ich powstrzymać, aby jej nie dostali — powiedział Garr. — Tak będzie w przyszłości. Teraz jednak, musisz zabrać stąd tę planetę, na wypadek gdyby Orionidom udało się przez nas przebić. Tu w laboratorium jesteście zabezpieczeni przed próżnią i nawet jeśli odlecicie od słońca, nic wam się nie stanie.

Ryll Emrys odwrócił się od nich i spacerował między wpatrującymi się w niego, milczącymi asystentami. Po chwili podszedł z powrotem. Twarz miał wstrząśniętą tragedią, ale mówił spokojnie.

— Garr, to ja sprowadziłem te statki do Marchii, na waszą zagładę. Zrobię wszystko, co chcesz. Zabiorę stąd tę planetę.

— Zabierz ją szybko! — ponaglił go Garr. — Wrócimy później – jeśli przeżyjemy.

Odwrócił się i Mason wyszedł za nim z powrotem na ostre, drażniące powietrze. Zbiegli po zboczu wielkiego stożka i pośpieszyli do statku.

Po kilku minutach okręt Garra poderwał się w górę i odleciał. Patrząc do tyłu Mason widział, że teraz wielkie metalowe ramiona, wystające w niebo ze stożka, ożyły emitując promieniowanie, które tkało sieć niemal niewidocznego światła, daleko od martwej planety.

— Nie widzę, żeby chociaż odrobinę się poruszyła — wymamrotał Hoxie.

— Poruszy się — odparł Garr. — Już w tej chwili zaczyna spadać w tym kierunku, z którego grawitacja nie została zneutralizowana. Początkowo, powoli, jak każdy spadający obiekt. Ale z każdą sekundą nabiera prędkości…

Statek pomknął w stronę szerokiej, migoczącej ławicy pyłowej, wlatując do wąziutkiego Kanału. Wtedy Garr wydał odpowiednie rozkazy i ich szybkość raptownie spadła, tak że ledwie się poruszali.

Ostrożnie pilot przysunął statek do brzegu kanału. Wkrótce pojazd znalazł się tuż koło ogromnego pola odłamków gruzu, o rozmiarach od drobnego pyłu do potężnych skał, które krążyły tam przez całą wieczność. Dla radarów nadlatujących statków, ich statek był niewidoczny. Nie dało się go odróżnić od dryfujących odłamków.

Czekali, tak samo jak statki pozostałych kapitanów Marchii, rozmieszczone wzdłuż brzegów Kanału. Masonowi wydawało się, że minęła nie jedna, lecz kilka wieczności, zanim pilot w milczeniu wskazał ręką na wielki ekran radaru.

Garr Atten, z twarzą nieruchomą, jakby była wykuta z brązu, skinął głową. Chwycił za mikrofon, który miał przekazać jego słowa do kabiny komunikacyjnej, i dalej, do wszystkich statków. Wydał krótki rozkaz:

— Na nich.

VII

Uderzyli na przeciwnika. Ze wszystkich statków pirackich czających się wzdłuż krawędzi ławic pyłu i odłamków skalnych, w kierunku zbliżającej się eskadry Orionidów pomknęły szybsze-niż-światło pociski.

Mason przyglądający się w napięciu razem z Garrem i starym Hoxie, dostrzegł nagle w oddali rozbłyskujące niewielkie punkciki białego światła, które zajaśniały na tle roziskrzonej mgiełki ławicy, a po chwili zniknęły.

— Na Boga, dostaliśmy jedną czwartą z nich! — wrzasnął Hoxie swym skrzekliwym głosem.

Na ekranie radarowym kilka zbliżających się punkcików, pokazujących oriońskie krążowniki nagle znikło. Inne rozbłyski raptownie zwalniały, zaczęły zmieniać kurs i rozleciały się w tak luźną formację, jak to tylko było możliwe w ciasnym Kanale.

Mason pomyślał, że dowódca Orionidów zbliżał się zbyt wolno. Na dużej szybkości eskadra mogłaby przebić się przez pułapkę pirackich statków, akceptując poniesione pewne straty, zaś ostrożna powolność w nawigacji przez Kanał działała na ich niekorzyść.

— Strzelać bez przerwy i przesuwać się w ich stronę wzdłuż krawędzi ławicy! — krzyknął do mikrofonu Garr. — Wypierać ich w górę Kanału!

Orionidzi znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Znajdowali się na otwartej przestrzeni pośrodku Kanału, gdzie radar bez trudu mógł ich wyśledzić. Natomiast statki pirackie na ekranie radarowym były trudne do odróżnienia od rozmazanej mgły ławicy.

Dwa kolejne statki oriońskie zniknęły w odległych rozbłyskach. Wtedy, nagle, punkciki na ekranach radarowych przestały utrzymywać formację w Kanale, i zaczęły szybko przemieszczać się w stronę rozmazanej granicy jednej z otaczających go ławic gruzu kosmicznego.

— Będą próbowali przebić się koło nas przez ławicę! — ostrzegł Mason.

Garr ponuro skinął głową.

— Pożałują tego kroku. Tak samo jak niektórzy z nas. Ale my wiemy więcej o lataniu w tej kaszy niż oni.

Wydał kilka ostrych rozkazów przez mikrofon. Statki z Marchii pomknęły przez Diabelski Kanał i w luźnej formacji prowadzonej przez okręt Garra zanurkowały w ławicę.

Biorąc pod uwagę normalne standardy statków międzygwiezdnych, zarówno piraci jak i Orionidzi posuwali się obecnie w żółwim tempie, z niewielkim ułamkiem prędkości światła. W ławicy utrzymywanie większej szybkości było niemożliwe. Nawet w tej chwili widok, jaki roztoczył się przed oczyma wyglądającego przez elektroniczne iluminatory Masona, był przerażający.

Wokół nich przemykały postrzępione kawałki metalu i skały, bezimiennego kosmicznego gruzu, wielkie jak domy, oraz roje mniejszych odłamków, o rozmiarach od kamieni do ziarenek piasku. Pilot pracował sterami jak energiczny dyrygent, tańcząc statkiem we wszystkie strony, by przeprowadzić go przez ten wirujący labirynt. Radar stał się bezużyteczny, zachodząc mgłą, a sygnały alarmowe nieustannie wywrzaskiwały komunikaty o zagrożeniu, jak rozhisteryzowana stara baba. Statek Garra jednak nieustannie parł naprzód, zaś pozostali kapitanowie Marchii podążali za nim, aby przechwycić oriońskie krążowniki, próbujące przebić się przez skalny labirynt.

Prosto przed nimi wyłonił się długi metalowy kształt, pędząc w ich stronę przez rzeki kamieni. Garr wykrzyknął do interkomu współrzędne i ze znajdujących się pod nimi wyrzutni wyskoczyły rakiety. Krążownik Orionidów dostrzegł je jednak i niemal równocześnie skręcił, wykonując unik.

Ale skręcił, nie zwracając uwagi na odłamki ławicy, które były równie niebezpieczne co każdy pocisk, i przewalający się rój ostrych skał uderzył prosto w niego, zamieniając go w obracający się bezwładnie, poskręcany wrak.

— Złapać ich i walić! — ryknął Garr do mikrofonu i długie statki Marchii rzuciły się przez śmiertelnie niebezpieczny labirynt, jak ogary przez puszczę.

Mason widywał już wcześniej statki kosmiczne w akcji i służył na jednym z nich, ale nigdy jeszcze nie widział jeszcze czegoś podobnego. W miejscu, gdzie radary i namierniki celów były bezużyteczne, okręty walczyły ze sobą przy pomocy kontaktu wizualnego, niemal w zwarciu. Uchylały się przed wirującymi odłamkami, atakowały przeciwnika, ponownie uchylały i ponownie uderzały.

Ludzie z Marchii Dalekiego Kosmosu już nieraz w swym życiu musieli nawigować i kryć się w ławicach gruzu. Znali się na tym sposobie szaleńczego latania znacznie lepiej niż marynarze jakiejkolwiek

konwencjonalnej marynarki i było to ich ogromną przewagą, jaką mieli nad szybszymi i cięższej uzbrojonymi statkami Orionidów. W otwartym kosmosie oriońska eskadra rozpyliłaby ich na atomy, zanim zdołaliby przedostać się na krótki dystans, ale tu w ławicy, sytuacja wyglądała inaczej.

Wszędzie dookoła pojawiały się i gasły zabójcze rozbłyski. Większość rakiet wystrzeliwanych przez obie strony chybiała i wybuchała na odłamkach kosmicznego gruzu, ale tu i ówdzie w promienistej aureoli znikały także i statki. Mason zauważył dwa pirackie okręty, które również podzieliły ten los, ale Orionidzi stracili aż pięć, a ludzie z Marchii ciągle uderzali i kryli się w ławicy by uderzyć ponownie.

Stary Hoxie wrzeszczał i przeklinał swym ostrym wysokim głosem, a potem zaczął tryumfalnie piać.

— Dajemy im nieźle popalić! Chcieli walczyć w ławicy i, do diabła, dostają teraz więcej niż się spodziewali…

Mason widział, że to prawda, gdyż oriońskie krążowniki zaczęły podawać tyły, próbując wycofać się z ławicy, ale otrzymywały coraz potężniejsze ciosy. Nagle do jego uszu doleciało szczeknięcie komunikatora.

Garr Atten, wykrzykujący rozkazy przez interkom, odwrócił się i huknął na Hoxiego.

— Zamknij się! Nie słyszę komunikatora, a ktoś mnie wzywa…

Hoxie natychmiast ucichł i usłyszeli niewyraźny, trzeszczący głos Shaa z Rigela, dobiegający z jego statku, gdzieś w skalnym labiryncie.

— Garr, próbowałem do ciebie dotrzeć! Jeden z oriońskich krążowników wydostał się z bitwy i prześlizgnął się dalej na zachód przez ławicę. Walczyłem z dwoma innymi i nie mogłem za nim polecieć.

Twarz Garra rozbłysła niepokojem. Krzyknął do mikrofonu:

— Uderzajcie na nich i wiążcie ich walką! Ale jeden się przebił i lecę za nim!

Odwrócił się w stronę pilota. Marynarz wszystko słyszał i już zaczął szybko obracać statek. Zygzakował między odłamkami, aż wreszcie wyszli z powrotem w Diabelski Kanał.

Oczy Masona i Garra utkwione były w ekranie radarowym. Kanał był pusty, nie było widać żadnych ech.

— Ten krążownik jest już w drodze do planety Rylla Emrysa! — krzyknął Garr. — Musimy go złapać!

Statek pomknął kanałem na zachód, nabierając prędkości nadświetlnej, z największym możliwym przyśpieszeniem. Mason wiedział jednak, że orioński krążownik był znacznie szybszy i miał przewagę na starcie. Czyżby Janissar z Oriona i V'rann mimo wszystko mieli jednak wygrać?

Wypadli z Kanału i ruszyli przez otwartą przestrzeń w stronę umierającego czerwonego słońca. Radar nie pokazywał żadnego statku i męczarnia na twarzy Garra pogłębiała się. A kiedy dolecieli bliżej, stary Hoxie wyciągnął trzęsącą się rękę i powiedział:

— Dobry Boże, patrzcie na to! Patrzcie…

Spojrzeli we wskazanym kierunku i Masona opadł blady strach. Widział bowiem rzeczy, jakich przed nim nie oglądał jeszcze żaden człowiek.

Ciemnobrązowa planeta, która znajdowała się przedtem najbliżej słońca, w ciągu tego całego czasu, zeszła ze swej orbity i wyraźnie się przesunęła. Poruszała się majestatycznie po stycznej na zewnątrz układu i wkrótce miała minąć orbitę drugiej planety, przemykając tuż przed nią.

Poszukujący umysł odkrył kolejny sekret natury, moc została wyzwolona i teraz człowiek potrafił poruszyć planety. A przed oczyma Masona stanęła straszliwa wizja rzeczy, które się wydarzą, kiedy potęga ta zostanie uwolniona przez gwiezdnych władców w czasie galaktycznej wojny.

— Oni już wylądowali — zawołał Garr. — Ich statek będzie gdzieś blisko wieży… wszystkie baterie w gotowości, ale na miłość boską, nie trafić wieży!

Przemknęli obok drugiej, lodowej planety, w kierunku ciemnobrązowego globu, na którym wylądował nieprzyjaciel. Zaczęli hamować, z piskiem atmosfery, a pod nimi przemykała pustynia z pokruszonymi skałami i wyrastającym w górę stożkiem, zwieńczonym uniesionymi metalowymi ramionami rozsiewającymi niesamowite promieniowanie, sterujące ruchem całej planety.

Statek Orionidów próbował poderwać się z ziemi, jakąś milę od wieży, by nie zostać złapanym jak na strzelnicy. Wznosząc się w niebo, zaczął się obracać, usiłując jak najszybciej wprowadzić do akcji swoje baterie wyrzutni rakietowych. Ale było za późno. Statek Garra już wystrzelił pociski i krążownik Orionidów został otoczony rozbłyskami wybuchów. Kiedy rozbłyski zgasły, na ziemię spadły zaledwie kawałki wraku.

Szybko opadli, lądując blisko wieży i Mason ruszył za Garrem, kiedy wielki Hydranin pobiegł do śluzy. Krzyczał:

— Wysłali ludzi do wieży – cała załoga na zewnątrz!

Wypadli na zimne, piekące powietrze i pobiegli w kierunku wieży. W górze, na płaskim wierzchołku stożka, przed metalowo-szklanym sześcianem, w którym znajdowało się laboratorium Rylla Emrysa, rozbiegali się ludzie w mundurach, strzelając do nich w dół.

Małe pociski wybuchły między nimi jak jasne, tańczące błędne ogniki, i ludzie zaczęli padać zmieniając się w spalone stosiki. Mason wyciągnął swój pistolet i odpowiedział ogniem, podobnie jak i inni. Orionidzi na górze również zaczęli padać.

— Nie strzelać — ryknął Garr Atten, trawiony straszliwą obawą. — Jeśli Ryll i jego maszyny ulegną zniszczeniu, wszystko będzie stracone!

Ruszyli biegiem pod górę. Wrota śluzy powietrznej sześcianu laboratorium już wcześniej zostały otworzone siłą przez ludzi z Oriona i teraz nie mogli ich zamknąć. Garr, Mason i ich podwładni wpadli biegiem do środka.

*****

Wielkie pomieszczenie było kompletnie zasłane ciałami. Wszędzie dokoła leżeli martwi ludzie pracujący dla Rylla Emrysa. Nie zostali oni

zabici przy pomocy pocisków, ale nożami i drągami trzymanymi w dłoni przez znajdujących się w środku umundurowanych Orionidów.

— Nie strzelać! — krzyknął ponownie Garr, kiedy znaleźli się w środku.

Mason zobaczył, że w przeciwległym kącie pomieszczenia orioński oficer nachyla się nad siedzącym w rogu i nieruszającym się Ryllem Emrysem.

Próbując do niego dotrzeć Mason uderzył jednego z przeciwników lufą pistoletu, czując jednocześnie piekące jak ogień draśnięcie ostrzem noża na ramieniu.

Pomieszczenie, świątynia i skupisko supernowoczesnych na skalę galaktyczną urządzeń naukowych, stało się areną walki na najbardziej prymitywną broń, ponieważ zarówno piraci, jak i Orionidzi nie ośmielili się podjąć ryzyka zniszczenia otaczających ich rzeczy.

Mason dostrzegł przelotnie padającego Garra, którego trafił w bok głowy metalowy drąg. Oficer zostawił Rylla Emrysa i rzucił się w środek zawieruchy, krzycząc do swoich ludzi. Pozbawieni przywódcy piraci, zachwiali się.

Mason uniósł broń. Był jedynym człowiekiem spośród wszystkich, który nie obawiał się zniszczenia stojących wokół maszyn, który chciał zniszczyć te maszyny, zanim nie rozedrą one galaktyki na strzępy. Strzelał raz za razem.

Malutkie pociski roznosiły tańczące gwiazdki śmierci pomiędzy Orionidami i ludzie w mundurach, nie będąc w stanie wytrzymać ognia jego broni oraz mając zakaz odpowiedzi na niego własnymi strzałami, załamali się i zaczęli uciekać za drzwi.

Mason wybiegł za nimi i zobaczył, że Orionidzi unoszą ręce w geście poddania.

— Wziąć ich na statek i dobrze ich związać — rozkazał Mason ludziom Garra. — Tam jest Hoxie – on obejmie dowództwo.

Wbiegł z powrotem do laboratorium. Najpierw pochylił się nad Garrem Attenem. Hydranin miał naprawdę twardą czaszkę, inaczej byłby już martwy. Chwilowo stracił przytomność, ale Mason stwierdził, że powinien z tego wyjść.

Podbiegł następnie do Rylla Emrysa. Ryll był przytomny i wpatrywał się w górę ciemniejącym spojrzeniem. Miał na piersi głęboką ranę od noża. To właśnie ją próbował opatrzyć orioński oficer, gdy zaczęła się walka.

— Kiedy wpadli do środka i zaczęli zabijać moich ludzi, rzuciłem się do walki — wyszeptał Ryll do Masona. — Nie chcieli mnie zabić. Ale im się udało.

Mason wiedział, że to prawda, z taką raną Ryll Emrys nie mógł przeżyć. Pomyślał, że naukowiec celowo musiał szukać śmierci, jako sposobu wyjścia ze swych problemów.

— Czy Garr nie żyje? — wyszeptał naukowiec.

— Nie — odparł Mason. — Dostał paskudnie po głowie, ale wyjdzie z tego.

— Był moim przyjacielem — powiedział Ryll Emrys. — Sprowadziłem na niego tylko kłopoty. A teraz weźmie i użyje broni, którą stworzyłem, i na koniec ściągnie ona na niego i na całą galaktykę zniszczenie i pożogę.

Mason pochylił się niżej.

— Posłuchaj, Ryll. Nie musisz się tym przejmować. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby zniszczyć całą tę instalację. Jestem terrańskim agentem, a Imperium Terrańskie również nie chce aby ta broń powstała.

W ciemniejącym spojrzeniu Rylla Emrysa rozbłysła nadzieja, jak przygasający płomień.

— Jeżeli to zrobisz, nie zostawię po sobie tego strasznego dziedzictwa dla ludzkości! Kiedy aparatura zostanie w pełni zniszczona, tajemnica umrze razem ze mną…

Przerwał, a potem powiedział.

— Nie, nie uda ci się zniszczyć jej całkowicie. Nawet z fragmentów ludzie mogą ponownie poskładać całość. Ale ja mogę ją zupełnie unicestwić. Zabierz mnie do panelu operatora.

Mason uniósł i podtrzymał mężczyznę. Czuł jak naukowiec umiera w jego uścisku, kiedy pomagał mu dojść do wielkiego panelu pełnego niezrozumiałych urządzeń sterujących i mierników. A jednak szaleńcze pragnienie wykonania zadania pobudziło Rylla Emrysa, i jeden po drugim, opisał Masonowi przyciski i powiedział mu jak zmienić ich ustawienia.

Potem umilkł, zwisając w uścisku Masona, ciągle jednak przyglądając się wielkim zestawom wskaźników. W końcu wyszeptał:

— Zrobione. Ten glob teraz nie przejdzie przed drugą planetą. Znajduje się na kursie kolizyjnym z nią. Zabierz Garra i szybko uciekajcie.

Mason zaniósł go z powrotem na krzesło. Ale Ryll Emrys był już martwy.

Podszedł do Garra i wziął potężnego Hydranina na plecy. Zataczając się pod jego ciężarem, z powietrzem coraz mocniej szarpiącym mu płuca wyszedł z pełnego śmierci pomieszczenia na smutne, czerwone światło słońca.

Hoxie i dwóch ludzi Garra zbliżało się ku niemu po zboczu stożka. Marynarze wzięli Garra, a Hoxie zapytał:

— Ryll Emrys?

— Nie żyje — odparł Mason. — I my też umrzemy, jeśli szybko nie wystartujemy. Ryll ustawił przyrządy sterownicze tak, by obie planety znalazły się na kursie kolizyjnym.

Przerażony Hoxie popatrzył w niebo.

Wysoko na niebie, druga planeta układu świeciła jak jasny księżyc.

Stary Ziemianin krzyknął ze zgrozą w głosie:

— A więc, pośpieszmy się.

*****

Pół godziny później ich statek szybko wystartował i pośpiesznie oddalił się od zmierzającej ku pewnej zagładzie planety.

Mason, Hoxie i pozostali członkowie załogi spoglądali w dół, na ciemnobrązowy glob, który obecnie poruszał się zmienionym torem, prosto w stronę drugiej planety.

Z komunikatora doleciał głos Shaa:

— Garr, zmusiliśmy ostatnich Orionidów do ucieczki! Zostało ich tylko sześciu – ale straciliśmy pięć statków.

Mason odpowiedział na wywołanie:

— Garr jest na razie wyłączony z akcji, ale wkrótce dojdzie do siebie. Tu mówi Brond Holl. Dołączcie do nas, ale nie zbliżajcie się do tej planety.

Statki zebrały się razem i zawisły nieruchomo w kosmosie, zaś zgromadzeni w nich ludzie spoglądali w przerażonym milczeniu jak ciemnobrązowa i jaśniejsza planeta powoli zbliżają się do siebie.

W końcu się spotkały.

Rozpadły się na części, rozłupane i roztrzaskane zawirowały w ognistej, niestabilnej masie. Potem masa ta powoli rozleciała się na pokruszone kawałki i wkrótce nowy rój kosmicznego gruzu zajął swoją orbitę wokół umierającego słońca, zaś dwie martwe planety uległy całkowitej zagładzie.

Ryll Emrys zginął ze swoją tajemnicą, Mason miał nadzieję, że na zawsze. Ale najsilniejszą cechą synów Adama jest nienasycona ciekawość, która powiodła ich ze starej Ziemi do gwiazd. Czy ciekawość ta nie otworzy kiedyś znowu drzwi, które właśnie udało się zamknąć?

Stary Hoxie westchnął:

— Cóż, i to by było na tyle. Nic tu po nas. Równie dobrze możemy wracać do domu.

Kiedy pirackie statki leciały z powrotem przez Kanał, a następnie spomiędzy ławic w stronę Quroon, Mason zamknął się w kabinie komunikacyjnej. Wysłał zakodowane wiadomości na drugi koniec galaktyki i wkrótce zaczęły nadchodzić odpowiedzi.

Kiedy w końcu stamtąd wyszedł, zbliżali się już do lądowania na Quroon. Hoxie poinformował go:

— Garr się obudził.

Mason znalazł Garra siedzącego w kabinie, z opatrunkiem na głowie i kamiennym wyrazem twarzy. Spojrzał na Masona i powiedział:

— A więc Ryll i jego praca są utracone. A z nimi wszelkie szanse na wolne królestwo. No cóż, zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy.

Mason odparł:

— Garr, mówiłem ci już kiedyś, że zbyt łatwo się poddajesz. Jest jeszcze szansa – tylko szansa, zaznaczam – że pomimo wszystko jednak zobaczymy ustanowienie nowego Królestwa Marchii.

Garr Aten stwierdził kwaśno.

— Miło, że próbujesz mnie trochę pocieszyć, Brond, ale nie opowiadaj mi tu jakichś przeklętych głupot.

— Posłuchaj, Garr — nie dawał za wygraną Mason. — Orion może nie do końca być przekonany, że tajemnica Rylla Emrysa naprawdę została zniszczona. Jest bardzo, bardzo prawdopodobne, że wkroczą tu i spróbują przejąć całe Marchie, anektując je siłą, w celu dokładnego sprawdzenia. Jeśli to zrobią, nadgraniczni królowie natychmiast wypowiedzą im wojnę, żeby ich powstrzymać.

Garr skinął głową.

— Bardzo prawdopodobne, że się tak stanie. I w tym cała nasza nadzieja.

— Rozmawiałem z pewnymi wysoko postawionymi osobami w Imperium Terrańskim — oznajmił Mason. — Zgodzili się ze mną, że kryzys ten może zostać zażegnany, jeśli w Marchiach zostanie utworzone niezależne królestwo. Terra uzna takie królestwo i zagwarantuje jego granice – a wtedy ani Janissar z Oriona, ani pomniejsi gwiezdni władcy, nie ośmielą się niepokoić Marchii.

Garr Atten przysłuchiwał się temu z narastającym zdumieniem, a teraz zerwał się na nogi.

— Na Sol mają szybko o tym zdecydować, przekażą mi informacje zaraz po zakończeniu posiedzenia Rady — dokończył Mason.

— Przekażą ci informacje! Rozmawiałeś z wysoko postawionymi osobami w Imperium Terrańskim! — wybuchnął Garr. — A skąd ty…

— Garr, ja nie jestem Brond Holl — wyjaśnił Mason. — Jestem terrańskim agentem.

*****

Wiadomości dotarły na Quroon zaledwie trzy dni później. Przesłano je Masonowi, czekającemu w kabinie komunikacyjnej statku Garra. Natychmiast wyskoczył ze statku, pojechał zalaną oślepiającym zielonym światłem słonecznym drogą do Quroon City i wszedł do wielkiej knajpy, w której oczekiwali Garr i pozostali mu kapitanowie.

Garr nie śmiał zadać pytania, ale Hoxie rzucił niecierpliwie:

— No i cóż, jakie są wieści?

Mason uśmiechnął się.

— Dwie godziny temu, poprzez formalne głosowanie Rady, Imperium Terrańskie uznało nowe Królestwo Marchii Dalekiego Kosmosu. Natychmiast jak tylko zwyczajowy plebiscyt wykaże, że taka jest wola ludności, Garr Atten zostanie uznany za prawowitego władcę.

Udało mu się dojść tylko do tego miejsca, ponieważ jego głos utonął w gwarze wznieconym przez pirackich kapitanów.

Mason przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył Garra Attena, marzącego o władzy królewskiej w tej właśnie tawernie, i pomyślał, że czasami marzenia ludzkie spełniają się w bardzo dziwny sposób.

Nieco później, Mason powiedział do Garra.

— Wkrótce stąd odlatuję – chcę dostać z powrotem swoją twarz. Ale co będzie z V’rann?

Garr uniósł głos, tak aby wszyscy mogli go słyszeć i surowo oznajmił:

— Teraz, tutaj również obowiązuje prawo i ludzie muszą go przestrzegać. Ona jest winna nakłaniania do próby morderstwa i będzie musiała odsiedzieć swój wyrok u nas w więzieniu, zanim będzie mogła wrócić do Oriona.

Hoxie jęknął.

— To jest to – kropla przepełniająca czarę. *Więzienie* tutaj, na Quroon!

KONIEC